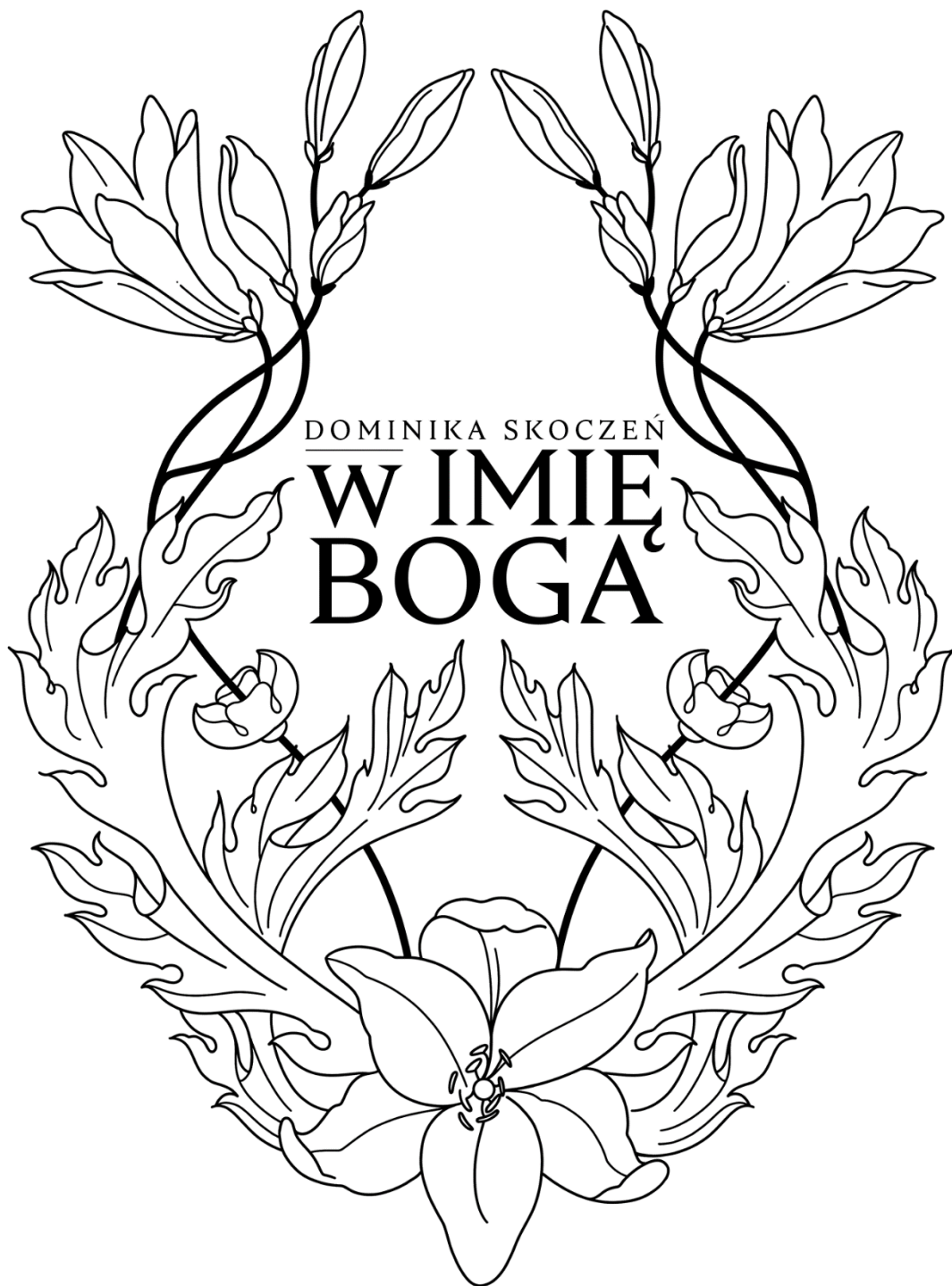




D O M I N I K A | W I M I E Ń B O G A
S K O C Z E Ń



DOMINIKA SKOCZEŃ

**W IMIĘ
BOGA**

ROZDZIAŁ I

Lecz mijały lata, pokolenie za pokoleniem, wiek za wiekiem, a ludzie zapomnieli o swym Panu i Stwórcy. Ich dusze szerniały i wykrzywiły się, serca stały się zatwardziałe i skore do grzechu. (...) Lecz Pan usłyszał płacz wdów i sierot. Spojrzał tedy na swój lud. Począł badać każdą duszę i każde serce, aż wzgardził ich pychą i rozpasaniem. „To nie jest lud, który stworzyłem”, powiedział Pan.

Zapis, Księga I, Upadek Ludzi

– Nie, nie i jeszcze raz nie! To jest absolutnie nie do przyjęcia! Nie wiem, czy chcą nas otuść, czy ośmieszyć? Ten arakowy posmak! Ohydny! No sama spróbuj, czy nie mam racji!

Laila spojrzała z niechęcią na kryształową paterę, którą matka właśnie jej podsunęła. Każde z ciastek było małym cukierniczym cudem. Na śnieżnobiałej powierzchni odcisnięto ukryte wśród listowia słowiki, splecione serca albo różane krzewy. Laila pomyślała, że jeśli zje jeszcze choć jedno, nawet malutkie, to zwymiotuje. Tymczasem deszcz szumiał monotonicznie za oknem i gdyby nie jasne światło primionowych lamp i trzaskający w kominku ogień, byłoby naprawdę ponuro. Mimo to wszystkie zebrane w pokoju nadkobiety, poza nią samą, zdawały się tryskać energią.

– Masz rację, to absolutnie nie do przyjęcia – zgodziła się dla świętego spokoju.

Machnęła ręką, nakazując jednej z asystentek zabrać paterę. Niestety na jej miejsce natychmiast pojawiła się nowa – tym razem okrągłe, niemal białe biszkopciki, obsypane cukrem pudrem i przełożone różaną konfiturą. Jakimś cudem zmieściły się między popielniczką a globusem o fornirowanej, zdobionej podstawie. Gdyby ojciec dowiedział się, że wraz z matką zagarnęły jego pracownię, na pewno byłby wściekły. Jednak biorąc pod uwagę, że całe popołudnie miał spędzić w Pałacu Arcysługi, raczej nie groziło mu odkrycie tego oburzającego aktu samowoli.

– Do tego jeszcze ta nedorzeczna kwiatowa aranżacja! – Matka spróbowała kolejnego ciastka. Cecylia Hencelrinki była damą w każdym calu, więc na jej szmince, palcach ani na szyfonowej bluzce nie znalazł się nawet ślad pudru. – Mówiłam im, motyw śniegu! Cóż z tego, że niekończący się deszcz, no, może przelotna burza, to najciekawsze zjawisko atmosferyczne, na jakie możemy liczyć w zimie po tej stronie gór? Wyobraźnia! Nie trzeba wiele, żeby zgadnąć, że czerwone azalie nie będą pasować. Chyba wiedzą, że śnieg jest biały? No, wiedzą czy nie? – Potoczyła wokół spojrzaniem, jakby spodziewała się odpowiedzi.

– Tak, wasza wielmożność – stwierdziła gorliwie główna asystentka, kiedy stało się jasne, że Laila nie zamierza odpowiedzieć. – Osobiście upewnię się, że nowe bukiety składają się wyłącznie z białych kwiatów.

– Dobrze tak tym pismakom z „Salonu damy światowej”. Widziałaś ich wczorajszy artykuł? Przekupili naszego dostawcę kwiatów. Wyśpiewał im wszystko, co wiedział o tym, jakie kwiaty planujemy zamówić! Oczywiście majordomus z samego rana pokazał mu drzwi. W pięty im pójdzie, gdy się okaże, że na weselu nie ma ani jednej czerwonej azalii!

– Musimy jeszcze raz przejrzeć listę gości. – Laila odchyliła się na oparcie kanapy, ze znużeniem pocierając skronie. To był prawdziwy problem, nie jakieś tam ciastka czy kwiaty. – Narcyza Koleon właśnie przysłała wiadomość, że nie zamierza się pojawić, skoro zaprosiliśmy także Gustawa Słonecznego. Ale zarządcę Bazyliki Bożego Światła przecież musimy zaprosić! Gustaw zostaje i kropka.

– Och, naprawdę, mogłaby przeboleć, że nie ożenił się z jej wnuczką! Trochę godności, bardzo was proszę! – Cecylia wyciągnęła dłoń, nie zwracając się do nikogo w szczególności, a inna asystentka natychmiast podała jej sporej wielkości papierowy rulon. – To oznacza, że przy jej stole... – Matka mówiła i mówiła, główna asystentka gorliwie notowała, a pozostałe porównywały z przejęciem długie listy zamówień i spraw do załatwienia, napełniając pokój trajkotem rozmów, szelestem papieru i skrobaniem wiecznych piór.

Laila przestała słuchać. Miała serdecznie dość przygotowań do tego przekłętego ślubu. *Oby tylko Waldor szybko stanął na nogi*, westchnęła w duchu. Zostały lekko ponad dwa tygodnie, a on akurat teraz postanowił się rozchorować! Kiedy wczoraj powiedział, że nie czuje się najlepiej, nie była pewna, czy wydrapać mu oczy, czy jak najszybciej się oddalić, żeby i ona nie zaniemogła. Wybrała to drugie, zwłaszcza że Waldor wyglądał naprawdę nieszczęśliwie. Zostawił wszystko na jej głowie, a Laila marzyła tylko o tym, by zająć się czymkolwiek innym. Nawet jej primiony zrobiły się ospałe, jakby też miały już wszystkiego dość.

– Więc to tutaj się chowacie! – Przez drzwi wsunęła się głowa Lupinora, jej stryjecznego brata. Nadmężczyzna omiótł spojrzeniem walające się po stołach szkice, papiery i stosy ciastek, rozmawiające nadkobiety i umęczoną Lailę po środku. – Wiecie, że to tylko ślub, a nie operacja wojskowa? – dodał.

– Mój drogi, nie opowiadaj bzdur, bardzo cię proszę! – parsknęła Cecylia, potrząsając głową, aż zamigotały brylantowe kolczyki. – Nie codziennie wydaje się za mąż dziedziczkę największego rodu w Imperium! Do tego zaszczytu nas obecnością sam Arcysługa! To nie operacja wojskowa, to cała kampania! Wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Zresztą od niejednej operacji wojskowej zależy mniej niż od tego ślubu – dorzuciła, nie bez pewnej racji. Sięgnęła po paterę i podetknęła mu ją pod nos. Piramidka słodczy zakolebała się niebezpiecznie, grożąc wylądowaniem na wzorzystej kamizelce lub, co gorsza, na nienagannie wyprasowanej koszuli Lupinora. – Dobrze, że jesteś! Spróbuj tych biszkoptów z konfiturą i powiedz, czy są lepsze niż kremowe roladki.

– Nie marzę o niczym innym, jak pomóc paniom, ale obawiam się, że spieszę się na spotkanie Towarzystwa Łowieckiego – powiedział z przesadnym ubolewaniem, równocześnie zgrabnie chwytając spadające ciasteczko. Na dowód tego, że mówi prawdę, uniósł rękaw klubowego surduta. Laila poczuła ukłucie zawiści. Jak on to robił, że zawsze, kiedy ktoś chciał od niego czegoś, na co Lupinor nie miał ochoty, był absolutnie niezbędny zupełnie gdzie indziej?

Kuzyn uchwycił spojrzenie Laili i uniósł brew, jakby mógł słyszeć jej myśli.

– Na pewno wybierzesz wyśmienicie, stryjenko. W końcu twój gust jest sławny w całym mieście. Mmm, pyszne – dorzucił, odgryzając kawałek biszkopcika i cofając się do wyjścia.

Cecylia machnęła na niego ręką, ale w kąciку starannie umalowanych ust czaił się teraz uśmiech. Znów sięgnęła po papier. *Lizus*, pomyślała Laila. *Nic dziwnego, że matka go uwielbia.*

– Och, zapomniałbym – dodał Lupinor, już prawie znikając za drzwiami. – Przybył posłaniec do ciebie, droga kuzynko. Zdaje się, że od Suwarowów. Mam kazać go tu przysłać, czy...

– Nie, nie, nie trzeba – przerwała mu szybko, z wdzięcznością chwytając podsunięte koło ratunkowe. – Sama do niego zejdę. I tak jest tu dość zamieszania. – Zerwała się i wygładziła spódnice. – To na pewno Waldor chce mnie powiadomić, że czuje się lepiej. Zaraz wrócę, matko. Oczekujcie dobrych wieści.

Wymknęła się za Lupinorem na korytarz, chwytając po drodze kieliszek galdyjskiego czerwonego wina, jej głównego sprzymierzeńca w walce z weselnym koszmarem.

– Widzę, że łatwo nie jest. Myślałem, że wkuwanie Zapisu wymaga cierpliwości, ale przy tym to pestka – rzucił obrazoburczo, kiedy drzwi pracowni zatrzęsły się za nimi. Piękny i bladolicy, jasnozłote włosy miał rozdzielone przedziałkiem i zaczesane na bok. Do tego modne krótkie bokobrody. W oczach migotały mu isierki. – Jesteś mi teraz winna przysługę, kuzyneczko – zażartował, oblizując palce z marmoladki, gdy schodzili reprezentacyjnymi schodami do holu. Często bywał niepoprawny, gdy nikt nie patrzył, ale w towarzystwie zawsze zachowywał się nienagannie.

– Tylko byś spróbował uciec na spotkanie tego swojego łowieckiego kółka, zostawiając mnie tam w środku – zagroziła. – Nikt ci nie mówił, że nie należy złościć panny młodej tuż przed ślubem? Jesteśmy bardziej drażliwe niż wybudzony ze snu niedźwiedź i nie mniej dosadne w wyrażaniu swojego niezadowolenia. Chyba że tak naprawdę miałeś na myśli towarzystwo jakiejś pięknej młodej damy?

– Niestety. Tym razem rzeczywiście chodzi o zebranie bandy dżentelmenów, którzy pod pretekstem rozmów o polowaniach chcą się poczuć lepszymi od kogoś z wielkich Hencelrinków. – Skrzywił się. – A ponieważ wy wszyscy jak zwykle znajdujecie się daleko poza zasięgiem ciosów, to ja muszę przyjąć rolę worka treningowego. – Wyjął z kieszeni

kamizelki grawerowany złoty zegarek i sprawdził godzinę. – Jestem już horrendalnie spóźniony – stwierdził bez szczególnego przejęcia. – Nie powiem, żeby bardzo mi się spieszyło na spotkanie z tą obłudną hałasną, choć pewnie powinienem być wdzięczny, że w ogóle mnie tam jeszcze zapraszają po tym, co zgotował mi kochany ojczulek.

Spochmurniał, jak zawsze gdy rozmowa schodziła na ten temat. Laila poklepała go współczująco po ramieniu. Rozczarowanie własnymi rodzicami należało do wątpliwych przywilejów każdego młodego pokolenia.

– A oto i twoja wiadomość, kuzynko – dodał, gdy znaleźli się w holu. Posłaniec, stojący tuż przed linią dywanu, który prapradziadek Laili nakazał sprowadzić aż z Zachodnich Wyp, skłonił się na ich widok.

– Panno Hencelrinki. – Podał jej zalakowaną kopertę, wyraźnie bardzo skupiony, by nie nastąpić na drogocenny kobierzec. – Pilna wiadomość od pani Suwarow.

Matka Waldora? Spodziewała się raczej wiadomości od narzeczonego, bijącego się w piersi za chwilową słabość i gotowego nadrobić zmarnowany czas. W końcu był nadczłowiekiem, na miłość boską! Ileż mógł chorować?!

Złamała pieczęć. Zerknęła na list, równocześnie pociągając łyk wina. Chwilę później kieliszek wysunął się ze zdrtwiałych palców. Nie roztrzaskał się tylko dlatego, że upadł na dywan. Poturlał się jeszcze kawałek, zostawiając za sobą krwistoczerwoną smugę. Laila nawet tego nie zauważyła. Wpatrywała się w słowa, które zdawały się przeczyć rzeczywistości.

– To niemożliwe – wyszeptała wreszcie, podnosząc na Lupinora zdumione spojrzenie.

* * *

Koła powozu rytmicznie turkotały po bruku w asyście stukotu końskich kopyt i podzwaniania uprząży. Gazowe latarnie rozświetlały mokry, zimowy zmierzch charakterystycznym zielonkawym blaskiem. Deszcz monotonnie stukał o szybę.

– Nie mogę w to uwierzyć! Po prostu nie mogę! – powtarzała w kółko Laila, nerwowo splatając i rozplatając palce. Wiadomość tak ją zaskoczyła, że wyszła z domu tak, jak stała, zgarniając po drodze tylko kapelusz i rękawiczki. Gdyby Lupinor przytomnie nie zabrał dla niej płaszcz, trzęsłaby się z zimna w samej bluzce i spódnicy. – Jak to jest umierający?!

Przecież wczoraj rano był ledwie przeziębiony! Zresztą był czystej krwi nadczłowiekiem, do tego oficerem o doskonałej tężyznie fizycznej! Choroby się go nie imaly! Przecież... przecież...

Lupinor chwycił ją za rękę, przerywając nerwowo taniec palców.

– Jestem pewien, że to jakaś pomyłka – zapewnił ją.

Uśmiechnęła się blado. Dobrze, że z nią był. Jego obecność dodawała otuchy, mimo że o nią nie prosiła. Wiedziała, jak ważne są dla niego tamte spotkania, a jednak pobiegł za nią, nawet się nie zastanawiając.

Westchnęła i oparła głowę o okno powozu. Za lekko zaparowaną szybą życie toczyło się jak zwykle. Chłopcy z gazetami nawoływali klientów, tramwaj konny przetoczył się po bruku, ochlapując kilku oburzonych nieszczęśników. Skryci pod parasolami panowie uchylali kapeluszy przed damami, panie ostrożnie przekraczały kałuże niczym dziwne, egzotyczne ptaki, brodzące po podmokłych łąkach. Dzięki Bogu długie suknie z czasów prababki odeszły już w zapomnienie, ustępując miejsca znacznie praktyczniejszym strojom, odsłaniającym nogę aż do połowy łydki.

Powóz minął gmach opery i wspiął się na most, spinający kanał burzowy ostrym łukiem. Woda płynęła głębokim, wartkim strumieniem. Dźwięki ulicy zlewały się z jednostajnym szumem deszczu, gdy Laila błdziła wzrokiem po mijanych budynkach.

Tremoriał. Pierwsze nadludzkie miasto, obecnie stolica Imperium i samo serce Kościoła. Wzniesiony na szczycie wzgórza, przez setki lat rozrastał się, przyjmując w swe progi nadludzi pragnących bezpieczeństwa, a w późniejszych czasach przyciąganych przez przepych metropolii. Dziś dawne mury były już tylko wspomnieniem. Miasto spływało po zboczach wzgórza i rozlewało się wokół podstawy, sięgając aż za opływającą je rzekę.

Tremoriał był miejscem pełnym sprzeczności. Od Rajskich Pól, dzielnicy pięknej i eleganckiej, zamieszkaney przez szlachtę i arystokrację najczystszej krwi, przez Podgórze, z jego fabrykami, sklepami i warsztatami, aż po Rioko, rozciągającą się za rzeką dzielnicę nędzy, pełną złodziei, żebraków i mieszkańców wątpliwego, a raczej niewątpliwie podłego pochodzenia, którym przyzwoity nadczłowiek nie ukłoniłby się na ulicy, o podaniu ręki nie wspominając. Chwała Bogu, tacy jak oni nie byli wpuszczani do centrum miasta, dzięki czemu bogobojni obywatele nie byli narażeni na obecność takiego „elementu”.

Gdyby gość odwiedzający Tremoriał zadał sobie dość trudu, by zwiedzić każdy plac, zaułek i uliczkę, mógłby dojść do wniosku, że ma do czynienia nie z jednym miastem, a z trzema.

Wreszcie powóz przejechał przez bramę. Za nią, w strugach ulewy, niczym ponury olbrzym majaczyła fasada rezydencji Suwarowów. Lupinor zastukał w okno powozu, dając znać lokajowi, by ten zadzwonił do drzwi i zaanonsował pannę Hencelrinki. Sam wysiadł i otworzył dla Laili parasolkę.

Przemierzyli mokry dziedziniec i wkroczyli do ciepłego, jasno oświetlonego holu. Laila szybko zsunęła okrycie i rzuciła je w ręce lokaja. Ten, nie dając po sobie poznać zaskoczenia pośpiechem, zaczął je suszyć delikatnym strumieniem primionów płynącym z dłoni.

– Laila, czekaj! – zawołał Lupinor do kuzynki, która już zmierzała w stronę schodów, ignorując idącego w jej stronę służącego.

– Waldor umiera, Lupinorze – wycedziła, nawet się nie odwracając. – Naprawdę nie zamierzam przejmować się teraz konwenansami. Doskonale znam drogę, dziękuję – rzuciła chłodno w stronę lokaja, który zatrzymał się bezradnie, patrząc to na nią, to w stronę piętra. Kuzyn posłał mu przepaszający uśmiech i szybko ruszył śladem panny Hencelrinki.

Dom Suwarowów, urządzony z pełną umiaru klasą, stanowił najlepszy dowód ich starej krwi, ale dziś w ogóle nie zwracała uwagi na otoczenie.

– Tu dzieje się coś dziwnego – mruknął Lupinor, gdy weszli na drugie piętro. – Nikogo tu nie ma, zauważyłaś? Gdzie jest służba?

Rzeczywiście. W rezydencji tej wielkości, zwłaszcza jeśli przyszło się niezapowiedzianym, łatwo było natknąć się na służących wykonujących swoje drobne zadania. Dopiero gdy zwrócił na to uwagę, spostrzegła, że odkąd opuścili hol, nie spotkali żywej duszy. Ani służby, ani nikogo z domowników. Część lamp pogasła z braku nafty, spowijając korytarz w półmroku. Zapach spalonych knotów, których nikt porządnie nie wygasił, drażnił nozdrza. Było całkowicie cicho, zupełnie jakby cały dom nagle opustoszał.

Lupinor sięgnął za koszulę i wyciągnął spory wisior z wydrążonego górskiego kryształu w metalowej oprawie. Podniósł małą klapkę, przysuwając dłoń do otworu. Świecące primiony zaczęły spływać wprost do naczynia. Gdy blask stał się wystarczająco mocny, zamknął pojemnik, zsunął wisior z szyi i uniósł jak latarnię, oświetlając drogę.

W ten sposób dotarli przed pokoje Waldora. Drzwi były uchylone, rzucając na podłogę pasek światła. Weszli do małego salonu. Tam również nikogo nie było. Laila śmiało pchnęła drzwi sypialni, zaś Lupinor został z tyłu, jakby nagle niepewny, co powinien ze sobą zrobić.

– Waldorze... – zaczęła, ale widok zebranego w środku niewielkiego tłumu, tak bardzo kontrastującego z pustką korytarzy, sprawił, że zatrzymała się zaraz za progiem.

W sypialni panował duszny, gorący półmrok. Aksamitne kotary zostały szczelnie zasunięte, jedyne źródło światła stanowiła stojąca przy łóżku niewielka primionowa lampa. Rzucała jasny krąg na szerokie łoże przykryte wzburzoną pościelą. Kąty pomieszczenia niknęły w mroku, twarze rodziców i rodzeństwa Waldora majaczyły na krawędzi cienia niczym maski, zastygłe w wyrazie ponurego wyczekiwania. W rogach łóżka, niczym strażnicy, stały cztery wysokie, spowite w biel postaci. Ich twarze kryły się pod woalami barwy zbielejącej kości, zza materiału widać było połyskujące oczy. Splecione na piersiach obandażowane dłonie w połączeniu z absolutnym bezruchem nadawały im wyraz nieskończonej cierpliwości.

Co tu robisz Sturdy?, zdumiała się Laila, kłaniając się z szacunkiem przed świętymi mężami. Jak zawsze w ich obecności poczuła się niegodna.

Wtedy go dostrzegła. W jednej chwili wszystkie zjedzone niedawno słodczyce podeszły jej do gardła.

Waldor leżał wśród przepeconych poduszek. Czarne włosy kontrastowały z białą prześcieradeł. Dawniej przystojna twarz wyglądała jak z koszmaru, pokryta ropiejącymi i krwawiącymi wrzodami. Złuszczająca się płatami skóra ukazywała żywe mięso. Reszta ciała wyglądała niewiele lepiej. Zmiany pokrywały gęsto szyję i leżące nieruchomo na pościeli ręce. Cały pokój wypełniał mdlący, duszny zapach choroby i rozkładu. Tylko lekko poruszająca się pierś i słaby świst oddechu świadczyły o tym, że nadmężczyzna wciąż żyje.

To było niemożliwe! Panna Hencelrinki nie mogła oderwać wzroku od twarzy narzeczonego. To była... to była boża gorączka! Choroba, którą Bóg zsyłał na niegodnych! Grzeszników, których czyny były tak obmierzłe, że nie mogli już żyć wśród wybranych przez Pana nadludzi!

Ale przecież... Waldor przeszedł Próbę! Podobnie jak Laila i każdy szlachcic, który przekroczył wiek dziecięcy. Wzdrygnęła się mimowolnie, przypominając sobie swoją. Podniosła atmosfera. Słudzy. Ona i Róża. Cztery białe postacie wynoszące ciało siostry.

Ale on ją przeszedł! Udowodnił, że ma czyste serce. Że jest godny życia wśród szlachetnie urodzonych! Dlaczego teraz? Nigdy nie słyszała, żeby ktoś, kto przeszedł Próbę, zachorował. Na pewno nie za jej życia ani za czasów rodziców czy dziadków.

Podeszła do łóżka, ledwie świadoma obecności innych osób w pokoju. Twarze rodziców i rodzeństwa Waldora zmieniły się w rozmazane plamy na krawędzi pola widzenia. Gdy tylko się zbliżyła, poczuła niesamowitą aurę, która zawsze otaczała Sługi. Niepokojące wrażenie obcości i potęgi. Lekko drżące powietrze i słodki, kwiatowy zapach, dziś przemieszany z wonią choroby i rozkładu. Drżącą ręką wyciągnęła z kieszeni perfumowaną chusteczkę. Przyłożyła ją do nosa i uklękła obok łóżka, nachylając się nad chorym. Z najwyższym trudem panowała nad wyrazem twarzy.

A więc wiadomość była prawdziwa. Jej narzeczoney umierał. Sądząc po tym, co mówiono i co sama wiedziała o bożej gorączce, a także po urywanych jękach, które od czasu do czasu wyrывały się spomiędzy warg chorego, śmierć mogła okazać się łaską.

– Waldorze – powiedziała cicho. Głos jej się załamał. Jeszcze wczoraj rano rozmawiał z nią jak gdyby nigdy nic! Ustalali ostatnie szczegóły ślubu, sprzeczali się w kwestii usadzenia gości. Krewki jak zawsze, podkreślał słowa, uderzając dłonią o stół. Na pierwszego Arcysługę, w Nowy Rok mieli się przecież pobrać... Nie mógł teraz tak po prostu umrzeć!

– Waldorze – powtórzyła. – To ja, Laila.

Nadmężczyzna drgnął, powieki się uniosły. Przez chwilę myślała, że ją usłyszał, ale spojrzenie miało szkliste, nieobecne. Wstrząsnął nim dreszcz, potem kolejny. Po chwili powieki zatrzępotały i opadły. Oddech uleciał spomiędzy warg z cichym szmerem. I tak po prostu, jakby rzeczywistość chciała zaprzeczyć temu, co właśnie pomyślała – umarł.

Jeden ze Sług nachylił się nad łóżkiem, a Lailę owionęła kolejna fala słodkiego zapachu. Kapłan z ceremonialną powolnością zaczął odwijać bandaż z lewej ręki, ukazując jasną, owrzodzoną skórę, po czym ujął nią dłoń Waldora. Gdy nie wyczuł primionów, wyciągnął małe lustro i przyłożył je do ust zmarłego. Nie zaparowało. W rzeczywistości lustro było zbędne. Gdy nadczyłowiek umierał, jego primiony zatrzymywały się i przestawały wibrować pod palcami. Tego dziwnego wrażenia martwej skóry nie dało się pomylić z niczym innym, jednak lustro pozostawało uświęconą przez wieki tradycją, pochodzącą jeszcze sprzed Podziału.

– Jego dusza opuściła ciało – oznajmił spokojnie Sługa, pokazując wszystkim idealnie przejrzystą szklaną powierzchnię. Za Lailą rozległ się urwany szloch. – Rodzina może się pożegnać ze zmarłym. Potem zabierzemy go i pochowamy zgodnie z ceremonią, w miejscu dla niegodnych. Pamiętajcie – dodał z łagodnym napomnieniem, podczas gdy drugi Sługa na powrót owijał mu dłoń bandażem – jego śmierć, nieważne, jak drogi był wam za życia, jest błogosławieństwem dla naszego społeczeństwa i dla świata. Chwalmy Pana, który jest wszechwiedzący i chroni swe dzieci przed niebezpieczeństwem czającym się w mroku.

– Chwalmy Pana! – powtórzyły trzy silne głosy pozostałych Sług.

Reszta zebranych w pokoju nadludzi z lekkim opóźnieniem wymamrotała to samo.

– Pamiętajcie – rzekł surowo pierwszy – nikt, absolutnie nikt nie może się dowiedzieć, dlaczego nie żyje. Inaczej hańba spadnie na dom Suwarowów.

* * *

Laila niewiele pamiętała z momentu, gdy pobladły Lupinor odprowadzał ją do domu. Następne dni ciągnęły się jak w koszmarze. Ogłoszono śmierć Waldora. Wkrótce w całej dzielnicy rozprawiano już tylko o tym, jak dziedzic Suwarowów niefortunnie zadławił się ością przy posiłku i to tuż przed swoim ślubem, okrzykniętym przez gazety jako najbardziej wyczekiwane wydarzenie kulturalne tej zimy. W „Kurierze Imperialnym” pojawił się szczegółowy opis życia i dokonań zmarłego panicza oraz długi artykuł na temat tego, czy jedzenie ryb może być szkodliwe dla zdrowia.

Jeszcze tego samego dnia rozpoczęto przygotowania do pogrzebu. Będąc narzeczoną Waldora, Laila spędzała długie godziny z jego matką i siostrą, ustalając najdrobniejsze szczegóły ceremonii. Trzeba było zdecydować, kogo i w jakiej kolejności zaprosić, zlecić przystrojenie Bazyliki Bożego Światła, wybrać drogę konduktu pogrzebowego, wysłać zwyczajowe podziękowania za wyrazy współczucia... Lista spraw zdawała się nie mieć końca. Suknia ślubna Laili leżała zapomniana w garderobie, tymczasem krawcowa gorączkowo brała miarę na czarną kreację.

Resztę wolnego czasu panna Hencelrinki spędzała na odbieraniu niekończących się kondolencji od co ważniejszych członków tremoriałskiej socjety. Jedni wykazywali się dużym taktem, inni rozwodzili się nad tym, jaka to wielka szkoda, że do tragedii nie doszło już po ślubie. Przyjaciółki wypytywały, jak się czuje, i zapewniały o swoim żalu. Służba zerkała na nią ukradkiem i szeptała po kątach. Wszystko to powodowało nieustający ból głowy i sprawiało, że Laila czuła się przynajmniej o dekadę starsza.

Nawet wieczory nie przynosiły ulgi. Kiedy rodzina zasiadała w świetle lamp, oddając się domowym rozrywkom, prędzej czy później matka wzdychała i odkładała robótkę.

– Kto by pomyślał! – mówiła półgłosem, upewniając się, że służba nie znajduje się nigdzie w pobliżu. – Doprawdy, coś takiego! Nigdy, w całej historii po Podziale nie zdarzyło się, żeby ktoś, kto przeszedł Próbę, zapadł na bożą gorączkę! To przecież wbrew Zapisowi!

– Moja droga – wtrącał się łagodnie ojciec, obracając stronę czytanej powieści. – Zapis mówi jedynie, że boża gorączka jest narzędziem, którym dobry Bóg chroni wybrany lud przed zepsuciem, oddzielając grzeszników od nadludzi czystego serca.

– Ale to się zdarzyło samo, Ludwiku! Próbę zawsze inicjują Słudzy! A tu po prostu jednego dnia był zdrowy, drugiego umarł. – Po tych słowach zapadała dłuższa cisza.

– Musiał popełnić jakiś straszliwy grzech – odzywał się w końcu ojciec. – Albo jego charakter zaczął ulegać potwornemu zepsuciu, skoro zesłano na niego tak straszliwą karę. Wielki jest Pan, który potrafi zawczasu chronić swoje dzieci przed złoczyńcą wkradającym się nocą do domostwa.

– To takie przykre. – Z tymi słowami igła do haftowania wracała do pracy w zwinnych dłoniach matki. – Skoro zmogła go boża gorączka, nie będzie się cieszył wspaniałością nowego życia. Jego duszę pożre nicość. Biedak umrze na zawsze. Ślad po nim nie zostanie.

– Ekhm, tak. – Zwykle w tym momencie wtrącał się Lupinor, rozpaczliwie próbując przerwać rozmowę, od której wszyscy dostawali gęziej skórki. – Słyszeliście, że Słoneczni znowu przemalowują powóz? To już trzeci raz w tym miesiącu...

– Taki dobrze wychowany młodzieniec z dobrej rodziny. I do tego doskonały strzelec... – Głos Ludwika Hencelrinki był pełen smutnego niedowierzania, jak gdyby celne oko i pewna ręka przesądzały o prawości nadludzkiego charakteru. Nowinka o powozie przegrała z kretesem z mrozącą krew w żyłach historią, która wydarzyła się niemal na jego własnym progu.

– Pamiętajcie! – Matka surowo patrzyła każdemu po kolei w oczy. – Nie wolno nam pozwolić, by ktokolwiek się o tym dowiedział! Laila narzeczoną plugastwa? – wzdrygała się. – Zaraz odwrócono by się od nas plecami. Nawet cała historia i autorytet nazwiska Hencelrinców nie uchroniłby nas od katastrofy!

– Pamiętajmy, pamiętamy. Problem polega na tym, że nie tylko my znamy prawdziwy powód śmierci mojego narzeczonego. – Laila się skrzywiła. Pewnym pocieszeniem był co

prawda fakt, że Sługa nakazał jej i wszystkim obecnym w pokoju milczenie, najlepszy dowód na to, że Kościół wciąż pamiętał zasługi Hencelrinków w budowaniu Imperium i dobrze im życzył. Ale przecież w domu Waldora byli i inni.

– Gdyby ktokolwiek coś pisał, cała sprawa już dawno byłaby w gazetach – powiedział Lupinor uspokajającym tonem. – Suwarowowie nie są głupi, mają do stracenia o wiele więcej niż my. Ewidentnie zadbali o to, by pozbyć się potencjalnych świadków. Kiedy tam przybyliśmy, na wyższych piętrach nie było żywej duszy; musieli odesłać całą służbę, gdy tylko zobaczyli pierwsze oznaki choroby. Nawet jeśli ktoś podejrzewa, że za śmiercią Waldora kryje się coś więcej, nie ma pojęcia co. A nawet gdyby się domyślił, to szansa, że zaryzykuje utratę tak dobrej posady w imię donosu, jest niewielka. Myślę, że jesteśmy bezpieczni.

Po takich rozmowach Laila wracała do sypialni, gdzie bezskutecznie próbowała zasnąć. Przewracała się z boku na bok, a w głowie wirowały jej wspomnienia koszmarnej twarzy narzeczonego, mdlącego słodkiego zapachu i białych postaci, gotowych zabrać ciało, gdy tylko biedny Waldor wyzionie ducha.

Dzień przed pogrzebem przygotowania osiągnęły punkt kulminacyjny. Pogoda pogarszała się z godziny na godzinę. Padający od paru dni lekki kapuśniak zmienił się w prawdziwą ulewę. Wśród grubej warstwy chmur raz po raz przewalały się ciche grzmoty zwiastujące nadchodzącą burzę. Wszyscy chodzili spięci i nerwowi. Po kolejnym dniu pełnym mozolnej, nieprzyjemnej pracy i krótkiej sprzeczce z niedoszlą teściową, Laila poczuła, że jeszcze chwila i oszaleje. Potrzebowała chwili dla siebie. Chciała uciec gdzieś, gdzie wszystko dookoła nie będzie jej nieustannie przypominać o całym tym koszmarze. W obecnej sytuacji wydawało się to niemożliwe.

Gdy tylko wróciła do domu, kazała swojej pokojówce, Henriecie, zdjąć z siebie czarną wizytową suknię.

– Przynies mi tę starą, znoszoną sukienkę, w której pracuję w ogrodzie – nakazała, odkładając na toaletkę ciężkie brylantowe kolczyki, po czym zsunęła z palca zaręczynowy pierścień, który powinna nosić aż do pogrzebu. Z ulgą wyciągnęła się na łóżku w samej bieliźnie i gorsecie.

– Pani? – zdziwiła się dziewczyna. Praca przy grządkach, ciemnym wieczorem i to w czasie ulewy, zdawała się nieporozumieniem.

– Rób, co mówię – napomniała ją panna Hencelrinki, upewniając się, że srebrna szpilka dalej trzyma w ryzach gładki kok. – Przynies też parę tych wysokich skórzanych trzewików. Weź pelerynę i parasolkę z szafy dla służby, a jeśli ktoś cię zapyta, powiedz, że bierzesz dla siebie.

Zdumiona pokojówka oddaliła się, by wykonać polecenie. Po chwili była z powrotem i zaczęło się ubieranie. Laila czekała cierpliwie, gdy Henrieta zmagiała się ze spodnią halką, wałkami uwypuklającymi biodra i kolejną warstwą halk. Wreszcie nałożyła właściwą suknię.

Chwilę układała i wygładzała materiał, by na koniec zapiąć maleńkie guziki ukryte w plecach stanika i w rękawach.

Niemodny już dekolt w kształcie serca zdradzał, czemu kreacja została skazana na haniebny los sukienki „do wszystkiego”. Choć była to najmniej strojna pozycja w garderobie panny Hencelrinki, prawdopodobnie wystarczyłaby na sfinansowanie pobytu u wód przynajmniej jednej podopiecznej domu sierot Stowarzyszenia Sióstr Miłosiernych.

– Wychodzimy, pani? – nie wytrzymała Henrieta, kiedy Laila kazała włożyć sobie buty.
– O tej porze? W taką pogodę? – dodała głośniejszym głosem, jakby szum ulewy za oknem nie wystarczył za dowód na to, że pogoda nie nadaje się do spacerów.

– Ja wychodzę. – Laila wciągnęła skórkowe rękawiczki, podczas gdy służąca zapinała jej płaszcz. – Gdyby ktoś pytał, powiedz, że mam migrenę i wypoczywam w swoich pokojach. Nie chcę dziś nikogo widzieć. Ach, i powiedz w kuchni, że nie będę jadła kolacji.

– P-pani, idziesz sama?! Może chociaż poślę po panicza Lupinora?

Zatrwożenie pokojówki było wielce stosowne. Co prawda Rajskie Pola, najznakomitsza dzielnica Tremoriału, były bezpiecznym miejscem, gdyby jednak nadludzie dowiedzieli się, że panna z dobrego domu włóczy się wieczorami po mieście samotnie, i to w stroju służącej, stanowiłoby to doskonałą pożywkę dla plotek! Wprawdzie reputację Laili chroniło znakomite nazwisko Hencelrinków, ale w tej sytuacji ostatnie, czego potrzebowała jej rodzina, to sięgnięcie na siebie dodatkowej uwagi.

Laili to nie martwiło. W czasie ulewy na ulicach nie będzie żywej duszy poza nieszczęśnikami, których obowiązki wygnały w deszcz i zawieruchę. Zresztą, była dziedziczką największej fortuny w kraju, jeśli nie liczyć majątku Kościoła. Nawet gdyby została odkryta, dostałaby burę od ojca, ale reszta szlachetnie urodzonych gęsi i indorów stwierdziłaby pewnie, że to wielce oryginalna zabawa, a nawet przejaw fantazji. W jej ślady ruszyłyby rzesze młodych panienek nazywających to „romantyczną awanturą”, ku utrapieniu biednych rodziców.

– Wypapłaj coś, a będę się na ciebie gniewać! – ostrzegła. Zostawiła załamującą rękę służącą i wyslizgnęła się z pokoju.

Lawirowanie korytarzami tak, żeby nikt jej nie zauważył, wymagało pewnej wprawy, ale już po chwili stała przed drzwiami dla służby. Otuliła się płaszczem, naciągnęła kaptur i pchnęła drzwi. Wiatr natychmiast cisnął jej w twarz strugi deszczu.

Zakłęła pod nosem słowami, których nie powinna znać dobrze wychowana dama, a które gęsto znaczyły strony podłego romansu, kupionego ostatnio w ramach kaprysu w księgarni na południowym rynečku. Rozłożyła parasolkę. Przeszła przez podwórze i wyszła za bramę. Przewidywania okazały się słuszne: ulice były wyludnione. Zmierzch dawno już zapadł, latarnie z trudem rozganiały deszczowy półmrok. Na szczęście czas nieustających zimowych deszczów miał się ku końcowi. Wraz z Nowym Rokiem niebo powinno się

rozpogodzić, poprawiając nastroje i przynosząc długo wyczekiwane rozrywki na świeżym powietrzu.

Szła ulicami, wreszcie wolna od nadludzi i obowiązków. Rajske Pola były najpiękniejszą dzielnicą Tremoriału. Ulice poprzecinane były mniejszymi i większymi kanałami, którymi deszczówka wypływała z miasta. Zdobiły je mosty i mostki – od małych, romantycznych kładek po wysokie, strzeliste konstrukcje. Szerokie, brukowane aleje otaczały szpalery drzew i donice z kwiatami. Szczególnie wystawne budynki, teatry i świątynie podświetlały co piękniejsze rzeźby i ornamenty starannie zamaskowanymi primionowymi kulami. Mniej zamożni mieszkańcy wykorzystywali do tego aranżacje ze świecących łagodnym blaskiem kwiatów.

Niebo co jakiś czas grzmiało ostrzegawczo. Szum deszczu działał uspokajająco i pozwalał uporządkować myśli. Laila wędrowała dość długo, zanim w końcu zatrzymała się na środku wysokiego mostu. Stanęła przy barierce i spojrzała w dół. Woda była głęboka, ciemną powierzchnię burzyły krople deszczu. Tremoriał zbudowano na zboczu wzniesienia, płynęła więc szybko, niosąc ze sobą mniejsze i większe listki i gałązki.

Waldor umarł. Co prawda nie był miłością jej życia, ale go lubiła. Zнали się od dziecka. Do tego był przystojny, szanował ją i mógł się pochwalić nienagannym rodowodem.

Patrzyła w głąb kanału, czując w środku dziwną pustkę. Ich wspólne życie miało być wspaniałe. Cieszyła się na wszystko, co ich czekało, lecz nagle Pan postanowił usunąć Waldora z jej życia. Czowała, że to przypadkowe i niesprawiedliwe, chociaż całe życie uczono ją, że Bóg nigdy nie działa przypadkowo. Trudno było teraz w to wierzyć!

A co z nią samą? Co ją czekało? Jeszcze tydzień temu wszystko zdawało się zaplanowane na co najmniej kilka lat w przód. Teraz Laila znowu niczego nie była pewna. Przeczeka okres żałoby, a potem... Potem pewnie cały rytuał zalotów rozpocznie się od nowa. Westchnęła, starając się opanować zniechęcenie. Przyzwyczała się do myśli, że zostanie żoną Waldora. Pogodziła się z jego wadami i doceniała zalety. Każdy inny wybór wydawał się mało pociągający. Brat Waldora był jeszcze za młody. Teodor Koleon budził w niej niechęć, bo uważała go za bawidamka, a ojciec prędzej połknie Zapis, niż pozwoli jej wyjść za Słonecznego. Jeśli zaś chodziło o resztę stosownych kandydatów, to większość nieco gorzej urodzonych dżentelmenów śliniła się na myśl o jej majątku.

Postanowiła na razie się nad tym nie zastanawiać. „Tak jak matka wypycha pisklę z gniazda, tak Pan sprowadza nas ze znanych dróg, byśmy rozwinęli skrzydła i wzbili się w niebo”, mówiła święta księga. Może to prawda i nie powinna się martwić. Może Pan szykował dla niej coś innego. Coś jeszcze wspanialszego.

Czowała, że powinna wracać do domu. Burza krążyła bardzo blisko. Chmury co chwilę rozjarzały się od błyskawic, sznury wody spadały z nieba na ziemię. Zrobiło jej się chłodno. Jedną myślą sprawiła, że warstwa primionów na skórze zaczęła emanować ciepłem.

Wtem poczuła coś dziwnego. Nagły, niewyjaśniony niepokój, przenikający głęboko do samego wnętrza. Ten sam rodzaj pierwotnego strachu, który pojawia się wraz z dotknięciem pajęczych nóg na karku lub gdy w najciemniejszej godzinie nocy, w pustym pokoju usłyszysz się czyjś oddech. Nagle z pełną wyrazistością uświadomiła sobie, że stoi samotnie, późnym wieczorem, wśród opustoszałych ulic, nad którymi mogła w każdej chwili rozszaleć się burza. Serce trzepotało jej w piersi jak mały ptak. *Nie bądź głupia*, pomyślała, rozdrażniona tym przyływem irracjonalnego lęku. Odwróciła się zdecydowanie, chcąc położyć mu kres tu i teraz.

Z jej ust wyrwał się cichy okrzyk.

Tuż za nią stał Sługa. Tak blisko, że mimo kaptura i woalu mogła dostrzec błyskające białka oczu. Zdążyła zobaczyć tylko te oczy i lśniące od wody białe szaty, gdy burza w końcu postanowiła na dobre zacząć przedstawienie. Niebo rozdarła przeraźliwie jasna błyskawica. Uderzyła niedaleko, rozsiewając silny zapach ozonu. Towarzyszył jej ogłuszający grzmot, tak donośny, jakby sam Pan w gniewie rozdarł niebo na dwie części.

Laila krzyknęła, odruchowo zasłaniając dłonią twarz i cofając się o krok. W pośpiechu przydepnęła rąbek nieco za długiej peleryny. Zachwiała się. Śliskie kamienie mostu uciekły jej spod stóp. Straciła równowagę i wpadła prosto na niską barierkę. Spadała.

Jakimś cudem udało jej się chwycić końcami palców skraju przęsła. Zatrzymała się z szarpnięciem. Ręka zaprotestowała gwałtownym bólem, od czubków palców aż po bark. Spojrzenie Laili odruchowo pobiegło w dół. Natychmiast tego pożałowała. Z przerażeniem patrzyła, jak wypuszczona z rąk parasolka spada, zdawałoby się całą wieczność, aż w końcu z pluskiem uderza w wodę daleko w dole.

Spowita w przemoczoną rękawiczkę dłoni Laili obsunęła się nieco na mokrym kamieniu. Palce, przyzwyczajone raczej do pisania listów, rysowania i układania bukietów, a z całą pewnością nie do utrzymywania całego ciężaru swej właścicielki, paliły żywym ogniem. Tylko sekundy dzieliły ją od upadku.

Zachrypniętym ze strachu głosem zawołała o pomoc. Równocześnie, siłą zrodzoną chyba wyłącznie z rozpacz, szarpnęła drugą ręką w stronę przęsła, próbując się chwycić. Wszystko będzie dobrze. Musi tylko wytrzymać dość długo, żeby Sługa zdążył jej pomóc.

Śliski, mokry kamień wysunął jej się z rąk w chwili, gdy nieopodal uderzyła kolejna błyskawica. Krzyk Laili zagłuszyła burza, podobnie jak plusk, gdy uderzyła w wodę. Chwilę później jedynym, co mąciło tafłę, były spadające z nieba wielkie krople ulewnego deszczu.

ROZDZIAŁ II

Wybrał więc nowo narodzone dzieci, grzechem jeszcze nieskalane, które nie później niż przed godziną ujrzały światło dnia. Napełnił je primionami, lecząc ich dusze i wzmacniając ciała. „To będzie naród, który wybrałem”, powiedział Pan, „jeszcze lepszy i doskonalszy od poprzedniego”.

Zapis, Księga II, Stworzenie Nadludzi

Obudziło ją mocne klepanie po policzku. Jęknęła i uchyliła powieki, jednak natychmiast zmrużyła oczy z powrotem. Nagle poczuła się źle. Bardzo, bardzo źle. Odwróciła się gwałtownie na bok i zwymiotowała. *Czyżbym wczoraj wieczorem przeholowała z likierem porzeczkowym?*, pomyślała, krzywiąc się i przecierając usta dłonią w rękawiczce. Myśli i wspomnienia krążyły po głowie powoli i bezładnie. Przez chwilę próbowała sobie przypomnieć, co robiła poprzedniej nocy, lecz zaraz dotarło do niej, że coś jest mocno nie w porządku. Była przemoczona do suchej nitki i leżała na czymś nieprzyjemnie miękkim i śliskim...

– Hej, nic ci nie jest, mała?

Z trudem ponownie otworzyła oczy. Jakiś cień pochylał się nad nią, otoczony światłem. Widziała tylko zarys sylwetki i włosy, które dziwacznie odstawały od głowy.

– Zamierzasz tak leżeć cały dzień? Bo jak tak, to mam lepsze rzeczy do roboty.

– Poczekaj – rozkazała słabo. Podparła się ostrożnie, mrugając, żeby oczy przyzwyczyły się do światła.

Była na brzegu czegoś, co wyglądało jak wielkie jezioro rozlane w środku zrujnowanego miasta. Zielonkawa woda rozciągała się jak okiem sięgnąć. Wyrastały z niej domy, straszące pustymi, czarnymi oknami i dziurawymi, na wpół zawalonymi dachami. Wyglądały, jakby pierwszy silniejszy podmuch wiatru mógł je obrócić w stertę przegniłych desek. Tu i ówdzie utknęły zaklinowane między ścianami gałęzie. Powietrze śmierdziało stęchlizną. Mech na ścianach budynków świecił niemrawo, przygasając w blasku poranka.

Laila siedziała w lepkim błocie na samym brzegu, mokra i drżąca z zimna. Malutkie fale obmywały jej buty, spódnicę pokrywała warstwa glonów. Włosy opadały w mokrych strąkach wokół twarzy. Płaszcz gdzieś zniknął, nie wspominając już o parasolce.

Wokół nie było żywej duszy, nie licząc nadmężczyzny, który ją obudził. Gapił się na nią ze zniecierpliwieniem. Znoszone ubranie nieznanego pozostawiało wiele do życzenia.

Brązowy skórzany płaszcz nie pierwszej młodości, pocerowany sweter, na szyi postrzępiony niebieski szalik. Nadmężczyzna wydawał się młody, lekko po trzydziestce. Włosy, brązowe i kędzierzawe, zwiąjały się w luźne pierścionki wokół twarzy.

Jej umysł zaczął wreszcie pracować. Spadła z mostu, prosto do kanału burzowego. Było wysoko, może straciła przytomność wraz z uderzeniem w taflę wody? Wydawało jej się, że czegoś się chwyciła... Prąd musiał ją zanieść do Rioki, a potem rzeka poniosła ją... gdzieś. To cud, że w ogóle żyła! Jak długo płynęła? Przecież to niemożliwe... niemożliwe, żeby była w rezerwacie... Nie poznawała tego miejsca, ale wyglądało na miasto, a przynajmniej jego resztki.

Jej spojrzenie powróciło do nieznanego i zatrzymało się na włosach, tak różnych od jej własnych.

To niemożliwe!, pomyślała, czując, jak serce przyspiesza kilkukrotnie. *To na pewno nie jest człowiek!*

Gdziekolwiek się znalazła, nie mogła siedzieć cały dzień w błocie. Z obrzydzeniem odrzuciła rękawiczkę, którą przed chwilą wytarła usta, i władcym gestem wyciągnęła rękę do nadmężczyzny, który spoglądał na nią niecierpliwie, z dłońmi głęboko w kieszeniach. Po krótkim namyśle chwycił ją i pomógł jej wstać. Jego skóra mrowiła delikatnie. Lailę zalała fala ulgi. Miała rację. Nie był człowiekiem, choć sądząc po wyglądzie, na pewno miał w sobie mnóstwo złej krwi.

Nagle myśl, że mogłaby znaleźć się w rezerwacie, wydała się jej absurdalna. Najwyraźniej wciąż nie myślała jasno, oszołomiony umysł podsuwał najbardziej przerażające scenariusze. Przecież nie można było tam tak po prostu wejść czy, jak w jej przypadku, dopłynąć. Rezerwy były dobrze strzeżone. Ktoś zatrzymałby ją na granicy.

– Gdzie ja jestem? – zapytała przez szczękające zęby. Objęła się ramionami. – Daleko stąd do Tremoriału? Muszę się dostać do Rajskich Pól.

Nadmężczyzna uniósł brwi i obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

– Pani szlachcianka – stwierdził, przeciągając słowa. W jego głosie wyczuła nutkę drwiny. – Mogłem się domyślić. Po butach.

Mimowolnie zerknęła na swoje wysokie sznurowane trzewiki. Wykonane z doskonałej skóry i lśniące od pasty, prawdopodobnie nic by sobie nie robiły z wszechobecnej wilgoci, gdyby dopiero co nie postanowiła w nich popływać.

– Masz szczęście, że to ja cię znalazłem – dodał. – W dzisiejszych czasach trudno dostać dobre buty. Witaj w Rioko, złotko.

Poczuła, jakby połknęła zimny i ciężki kamień, który właśnie opadł na dno żołądka. Rioko. Dzielnica nędzy, leżąca na samym obrzeżu Tremoriału. Zawdzięczająca nazwę rzece,

która oddzielała ją od reszty stolicy. Laila nigdy tu nie była. Rioko cieszyło się reputacją miejsca nieprzyjemnego, niebezpiecznego i pełnego mieszkańców najgorszego sortu. Nikt o zdrowych zmysłach się tu nie zapuszczał.

Poczuła narastającą panikę. Wszystko działo się za szybko. Ile czasu była nieprzytomna? Świtało, czyli całą noc. W domu musieli już się zorientować, że zniknęła. Henrieta na pewno puściła farbę. Pewnie zaczęli już jej szukać, ale kto mógłby się domyślić, że będzie aż tutaj? Na pewno myślą, że jest gdzieś w Rajskich Polach. Nie mogła biernie czekać, aż ją znajdą.

Postanowiła skupić się na jasnych stronach sytuacji. Wciąż była w Tremoriale. Wystarczyło, że opuści dzielnicę nędzy, wtedy znów będzie bezpieczna i bez trudu wróci do domu.

– Wyprowadź mnie stąd – rozkazała, czując powracający spokój. – Albo lepiej, zwołaj jakiś powóz, furę, wózek czy czym się tam poruszacie w tym paskudnym miejscu.

– Prędzej sprowadzę ci gwiazdkę z nieba – parsknął. Nawet nie zdążyła się oburzyć na tę bezczelną odzywkę, bo dodał: – Trwa kwarantanna, zapomniałaś? Jesteśmy odcięci od reszty miasta.

– Kwarantanna?! – powtórzyła tępo niczym papużka sprowadzona z dalekich, gorących krajów.

– Rioka wylała, jak co roku – wyjaśnił, mówiąc powoli jak do dziecka albo osoby niespełna rozumu. – Od wieków pada, do tego w mieście wyżej otwarli dodatkowe przepusty. Pół dzielnicy stoi w wodzie. Nadludzie chorują, niektórzy plują krwią. – Wzruszył ramionami. – Ci na górze uważają to za dobry powód, żeby nas zamknąć. Strzelają do nadludzi na mostach i takie tam.

– Strzelają?

– Mhm. Bez ostrzeżenia. Nie polecam kręcić się w pobliżu.

Laila znów obejrzała się na wystające z wody budynki. Przed oczami stanęły jej głębokie, starannie obmurowane koryta kanałów, którymi w Rajskich Polach spływała deszczówka. Kwarantanna... Oczywiście słyszała o tym, że pod koniec roku obejmuje się kwarantanną dzielnicę nędzy, ale nigdy dotąd nie zaprzętała sobie tym głowy.

– To jak ja mam w takim razie wrócić? – wymknęło się jej. Znów poczuła strach, wzbierający powoli na dnie żołądka, zimny i przenikliwy.

– To już nie mój problem. – Nadmężczyzna kiwnął jej zdawkowo głową i odwrócił się, by odejść.

– Czekaj! – zawołała za nim, podczas gdy niechęć walczyła o pierwszeństwo z lękiem. Może i ją ocucił, ale był bezczelny, nie traktował z szacunkiem należnym damie o jej pozycji

i jeszcze zamierzał zostawić ją samą w takiej sytuacji! Widział, że była zdezorientowana i zagubiona. Nie trzeba było geniuszu, by domyślić się, że przydarzyło jej się coś złego, a przynajmniej niefortunnego. Zwykła nadludzka życzliwość nakazywała pomóc bliźniemu w potrzebie!

– Czego jeszcze chcesz? – zapytał niechętnie.

Aż ją zatkąło.

– Czy ty... nie wiesz, kim jestem? – wydukała w końcu. Może jej nie poznał, w tej przemoczonej i ubłoconej sukni. Sina z zimna, z włosami wiszącymi w mokrych strąkach wokół twarzy, z pewnością nie przypominała samej siebie.

– Nie mam pojęcia. I szczerze mówiąc, obchodzi mnie to tyle, co zeszłoroczny deszcz.

Znów zaczął odchodzić. Jego buty zostawiały w błocie wyraźne ślady. Umysł Laili pracował na najwyższych obrotach. Obcy był antypatycznym, niezyczliwym prostakiem i miała ochotę posłać go w nicość. Z drugiej strony znalazła się w wyjątkowo podłym, nieznanym jej miejscu, bez służby, strażników, pieniędzy ani nikogo, kto mógłby o nią zadbać. Wokół nie było żywej duszy. Znów wstrząsnął nią zimny dreszcz. Powrotem do domu zajmie się później. Na razie musi się ogrzać i wysuszyć.

– No cóż, twoja strata – stwierdziła obojętnie, ruszając obok niego jak gdyby nigdy nic. Wyraźnie chciał zaprotestować, ale zamiast tego zrobił tylko minę, jakby coś wyjątkowo nieprzyjemnego przykleiło mu się do buta.

Chwilę szła obok niego, między rozlatującymi się domami, powoli oddalając się od rozlewiska. Liczyła w myślach, czekając.

– Przestań za mną iść – warknął, zanim doliczyła do pięćdziesięciu.

– Nie idę za tobą. To po prostu równie dobry kierunek jak każdy inny. – Wzruszyła ramionami. – Nie przywiązuj się. Rozstaniemy się, gdy tylko zobaczę jakichś nadludzi, którzy, w przeciwieństwie do ciebie, nie będą rwać się do ucieczki na mój widok. – Chuchnęła w zmarzniete ręce i zaczęła je rozcierać, próbując choć trochę rozgrzać zeszywniałe z zimna palce. – Jestem pewna, że w takiej zapomnianej przez Boga okolicy bez trudu znajdę kogoś chętnego na dziecinnie łatwy zarobek, który mam do zaoferowania.

Zatrzymał się i wreszcie obdarzył ją nieco bardziej zainteresowanym spojrzeniem.

– Masz pieniądze? – zapytał. Czyli nie przeszukał jej, kiedy była nieprzytomna. Zdumiewające. Sądząc po jego „wyrafinowanym” zachowaniu, spodziewała się, że od tego zaczął.

– Nie – zaprzeczyła.

– Biżuterię?

– Nie. Mam coś znacznie lepszego niż garść monet, którą mogłabym mieć przy sobie. Otóż, mój drogi panie, gdybyś zechciał choć przez chwilę ze mną porozmawiać, dowiedziałbyś się, że pochodzę z bardzo dobrej rodziny, która słynie z hojności. Z pewnością dobrze wynagrodzi bohatera, który udzieli mi schronienia, a potem pomoże mi wrócić do domu, całej i zdrowej. Ale wybacz, że cię zanudzam. – Machnęła niedbale ręką. – Już przecież jasno wyraziłeś swój brak zainteresowania moją osobą. Nie będę się dłużej narzucać. Moje uszanowanie.

Tym razem to Laila ruszyła, zostawiając go z tyłu. Maszerując, zebrała włosy i zaczęła wyciskać z nich wodę.

– Czekaj! – Poczula opadającą na ramię rękę. Natychmiast zeszywniała, czując nową falę niepokoju. Chwył nie był silny, ale to, że obcy nadczłowiek mógł tak po prostu jej dotknąć... Gdyby ją zaatakował, nie dałaby rady się obronić. Na Boga, jeśli ktokolwiek ją tu zaatakuje, nie zdoła się obronić. *Spokojnie*, rozkazała sobie w myślach. *Wszystko będzie dobrze. Musisz tylko zachować ostrożność.* Zerknęła przez ramię, z całej siły starając się ukryć lęk.

– Naprawdę myślisz, że znajdziesz tam jakichś bohaterów? – Nadmężczyzna wskazał podbródkiem w stronę, w którą zmierzali i gdzie musiało znajdować się serce dzielnicy. Jego słowa w nieprzyjemny sposób odzwierciedlały to, czego się bała. Potrzebowała całego opanowania, na jakie było ją stać, żeby zrobić minę, jakby wszystko dookoła – błoto, krzywe domy, chmurne niebo – nie robiło na niej najmniejszego wrażenia.

– Odrobina zachęty nawet z łotrzyka może zrobić Siostrę Miłosierną. A ja mam tej zachęty bardzo, bardzo dużo – rzekła, strząsając jego rękę.

Obcy założył ręce na piersi i chwilę patrzył na Lailę. Ze zmarszczonymi brwiami i ponurym, gniewnym spojrzeniem przypominał uosobienie zimowej burzy. Potem wymienił sumę, którą Laila uznała za śmiesznie niską. Może wciąż nie domyślał się, kim ona jest? Usatysfakcjonowana, że tak łatwo poszło, otworzyła usta, żeby oznajmić, że łaskawie się zgadza, kiedy dorzucił:

– I wyższą klasę mieszkalną.

Skrzywiła się. Dłoń mimowolnie podążyła do lewego rękawa, który skrywał elegancki tatuaż przedstawiający ozdobną jedynekę. Imperium było społeczeństwem kastowym. Nadludzie podzieleni byli w zależności od czystości krwi, urodzenia, a w konsekwencji także ilości primionów. Sama należała do najwyższej możliwej kasty, dzięki czemu mogła mieszkać w Rajskich Polach, wśród nadludzi najczystszej krwi. Oczywiście między dzielnicami wolno było się przemieszczać, inaczej pojawiłby się problem ze służbą i pracami porządkowymi. Wchodząc do lepszej dzielnicy, trzeba było posiadać odpowiednią przepustkę, która w każdej chwili mogła zostać sprawdzona przez straż.

– Twój awans społeczny nie leży w moich rękach – wytknęła mu, grając na zwłokę. Niech to nicość, dlaczego nie mógł po prostu zadowolić się pieniędzmi? Jak widać, chciwość,

którą przypisywano mieszacom, nie miała w sobie ani krzty przesady. – O tym, kto przynależy do której kasty, decydują przecież Słudzy, a nikt nie rozkazuje świętym mężom. Słuchają tylko głosu Boga.

Właściwie miała rację. Nikt nie miał władzy nad Kościołem, ale hojne datki, odpowiednia doza lizusostwa i wysoka pozycja społeczna pozwalały niektórym nadludziom prosić o różne drobiazgi. Był to jednak przywilej niepewny, którego starano się nie nadużywać. A zmiana kasty na pewno nie należała do drobiazgów.

– Szkoda – powiedział. – W takim razie radź sobie sama. Powodzenia ze znalezieniem bohatera wśród rabusiów, gwałcicieli i nożowników.

Blefował? Pewnie tak. Jeśli Laila uzna żądanie zmiany kasty za niedorzeczne i po prostu odejdzie, nadmężczyzna na pewno za nią pójdzie i zamiast tego zażąda więcej pieniędzy. Mieszkał w Rioko, na miłość boską, na pewno istniała kwota, której nie będzie w stanie się oprzeć, a która dla Hencelrinków wciąż będzie stanowić nieistotny wydatek w rocznym budżecie. A jeśli nie? Zawsze może poszukać kogoś innego, kto zadowolony się garścią monet.

Tylko jaką miała szansę, że w dzielnicy nędzy nie trafi na kogoś gorszego? Ten tutaj miał okazję ją skrzywdzić, ale tego nie zrobił... przynajmniej jak dotąd. Już go nie znosiła, ale w pewien sposób dowiódł swojej uczciwości. A jeśli wybierze źle...

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Nie mogę zagwarantować powodzenia, ale obiecuję, na honor damy i mojego rodu, że jeśli pomożesz mi wrócić do domu, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby twój status został zmieniony.

Zastanowił się chwilę.

– W porządku, umowa stoi – powiedział w końcu drwiąco. Splunął na rękę i wyciągnął ją w jej stronę. – Ale musisz się mnie słuchać. Wyróżniasz się jak cekin w rynsztoku, księżniczko. Jeśli czegoś z tym nie zrobisz, ktoś cię zgwałci, a może i zabije, zanim zdążysz krzyknąć „co robisz, kawalerze!”.

Nie wiedziała, czy mówił szczerze, czy chciał ją tylko nastraszyć, ale pasowało to do opinii, jaką miała o Rioko. Z obrzydzeniem uściśnęła mu dłoń, po czym szybko wytarła rękę o spódnicę. Na myśl o złożonej przed chwilą obietnicy usta same złożyły się do uśmiechu. Była na tyle niejasna, że mogła oznaczać cokolwiek. W razie potrzeby panna Hencelrinki z łatwością się z niej wyplącze. Mimo to ten tutaj zdawał się usatysfakcjonowany. Albo uznał, że nic więcej od niej nie wyciągnie, albo nigdy nie siadał do gry z nadludźmi, którzy na politycznych rozgrywkach, plotkach i intrygach zjedli zęby.

Tymczasem nadmężczyzna zdjął płaszcz i jej go podał.

– Włóż go i zapnij pod szyję – wyjaśnił, widząc jej zdumione spojrzenie. – Ukryje tę fikuśną kieckę.

Nie miała ochoty zakładać na siebie ubrania jakiegoś ulicznika. Mógł mieć pchły albo i coś gorszego. Ale pewnie był to lepszy pomysł niż paradowanie po dzielnicy nędzy w kosztownej sukni.

– Masz jakieś imię? – zapytała, wciągając płaszcz. Oczywiście okazał się za duży. Musiała wyglądać naprawdę nedorzecznie. Tymczasem nadmężczyzna kucnął przy niej i zaczął mazać błotem jej buty oraz wystający spod płaszcza skraj sukni. Ledwo powstrzymała odruch, by się cofnąć.

– Tanuril Aave – mruknął. – A ty? – dodał z bezpośredniością, która wstrzymała jej dech w piersiach.

Powściągnęła złość. Nie mogła przecież oczekiwać, że byle prostak z ludzką krwią w żyłach będzie wiedział, jak się zwracać do dziedziczki krwi.

– Laila Hencelrinki – odpowiedziała z godnością.

Tanuril przerwał rujnowanie jej odzienia i powoli się podniósł. Stał znacznie bliżej, niż pozwalała na to etykieta i dobre wychowanie. Raz jeszcze ledwo się zmusiła do pozostania w miejscu. Patrzył na nią bez słowa, z dziwnym wyrazem oczu.

– Jesteś głupia, wielmożna panienko – powiedział wreszcie cicho. – Jeśli nie zmądrzejesz, nie dożyjesz końca kwarantanny. Ufasz dopiero co poznanemu mieszkańcowi z biednej dzielnicy? Dobrze ci radzę, przestań się zachowywać jak pieprzona dama. Tutaj jesteś nikim i możesz umrzeć jak każdy inny podły mieszaniec. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Jeśli chcesz przeżyć, przedstawiaj się jako Laila Hencel.

Na wszystkie Sługi i Arcysługi, on ma rację, pomyślała, czując spływający po plecach zimny pot. Była tu zaledwie dziesięć minut, a już postawiła na szali swoje bezpieczeństwo, a może i życie. Ogłaszać wszem wobec, że jest bogata? Tutaj? Obróciła w myślach swoje nowe miano. Nadawało się. Hencel było bardzo popularnym nazwiskiem, dobrym dla posługaczki, praczki, sklepikarki... w zasadzie kogokolwiek. I było podobne do jej własnego. Przynajmniej się nie pomyli.

Tanuril obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

– Na razie ujdzie – burknął – a potem przebierzesz się w coś innego. No, to chodźmy, bo robi się późno... Nie gap się na nadludzi i nie gadaj za dużo.

Rzeczywiście, w czasie, gdy rozmawiali, przebijające przez chmury słońce wyraźnie wzniosło się na niebie. Tanuril poprowadził ich między domami, stawiając długie, pewne kroki. Ruszyła za nim. Od czasu do czasu zerknęła ciekawie na jego czuprynę. Oczywiście wielu służących i robotników miało kręcone włosy, zwłaszcza ci niżsi rangą, ale zwykle skrywały je czepki, kaszkiety lub ciasne koki, więc rzadko kiedy miała okazję dobrze się przyjrzeć. Z kolei bogatsi mieszczenie, jeśli nie zostali obdarzeni przez krew i naturę prostymi włosami,

prostowali je za pomocą specjalnych żelaznych szczypiec, które rozgrzewano do wysokich temperatur.

Panna Hencelrinki bez żalu zostawiła za sobą cuchnące rozlewisko, ale ulice, którymi szli, wydawały się niewiele lepsze. Wysokie, krzywe domy tłoczyły się tak blisko siebie, że mieszkańcy przeciwnych kwater miejscami mogliby podać sobie ręce nad ulicą. Nie było ani jednej latarni, a buty grzęzły w błocie. Pod ścianami wały się sterty śmieci. Dzięki Bogu nie padało, choć z drugiej strony i tak była przemoczona, a deszcz może zmyłby z niej to okropne błoto. Czuła, że cuchnie. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zanurzy się w balii z gorącą wodą.

Rioko zdecydowanie jej się nie podobało. Ściany domów porastała pleśń i świecący upiornie mech. Wiele okien nie miało szyb ani nawet okiennic, dzięki czemu mogła łatwo zaglądać w ich mroczne trzewia. Słabe światło poranka wylaniało z mroku nadludzi stłoczonych na krzywych łózkach i legowiskach z koców na podłodze. Wiszące pod sufitem zszarzałe hamaki przypominały kokony olbrzymich owadów. Co jakiś czas poruszały się niespokojnie, jakby lada chwila miały się otworzyć, ukazując światu swą szkaradną zawartość.

Zalatywało wonią niemytych ciał. Nieliczni mieszkańcy o szarych, zmęczonych twarzach i podkrążonych oczach wałęsali się po ulicach. Niektórzy kulili się pod ścianami i drzemali, budząc się, kiedy koło nich przechodzili, i żebrząc o grosze czy coś do jedzenia.

– Nędzarze – stwierdził Tanuril, widząc, że Laila się im przygląda. – Nie znaleźli miejsca na nocleg albo nie starczyło im pieniędzy, żeby gdzieś przekimac.

– Nie wierzę ci. – Potrząsnęła głową. – Jak ktoś mógłby spać na zewnątrz pod koniec roku? W ulewnych deszczach?

– Krótko. Tacy jak oni prawie w ogóle nie mają primionów. Nawet nie mogą się ogrzać, biedacy. Minie trochę czasu, zanim znów poczujesz woń cząsteczek.

Dopiero kiedy to powiedział, Laila zorientowała się, że tego właśnie ciągle jej brakowało. Znajomego zapachu w powietrzu. Mieszaniny primionów setek nadludzi. Choć u pojedynczego nadczłowieka ich zapach był słabszy niż delikatne perfumy, to jednak gdy tylko zebrała się większa grupa, w powietrzu dało się wyczuć słodką nutę. Zapytana, co jej ona przypomina, Laila nie umiałaby udzielić odpowiedzi. Świeżo rozcięte strączki wanilii? Może jakieś kwiaty? Czasem zapach przywodził na myśl białe, zwieszające się ciężko kiście bzu. Innego dnia była pewna, że jedyne, co oddaje mu sprawiedliwość, to słodycz jaśminu, wdychanego pełną piersią w ciepły, letni wieczór.

Pociągnęła nosem. Otaczająca ją woń była bardzo słaba i różniła się od tej, do której się przyzwyczaiła. Zresztą i tak niewiele można było poczuć przez stęchlizną kanałów, dym i smród latryn, które mieszały się ze sobą, tworząc jedyne w swoim rodzaju, niezapomniany – jeśli można tak go nazwać – aromat.

Tymczasem na ulicy zaczęły się pojawiać dzieci i wyrostki, bose, chude i obszarpane. Biegły gdzieś, pokrzykując do siebie. Kiedy nie odsunęła się dość szybko, jeden z nich potrafił ją brutalnie.

– Hej! – zawołała za nim oburzona, ale nawet się nie obejrzała. – Co oni tu robią?

– To wylawiacze. Chodzą wzdłuż kanałów albo brzegiem rzeki i przeszukują wodę z nadzieją, że coś wartościowego przyplynie z prądem. Niedługo zleci się ich więcej.

– Też jesteś wylawiaczem?

– Ja? – parsknęła. – Nie.

Wylawiacze. Po lekkości, z jaką to powiedział, wywnioskowała, że było to tutaj zwyczajne zajęcie. W Rajskich Polach takich nadludzi nazywano po prostu żebrakami. Samo to malowało szkaradny obraz tego miejsca.

– Dokąd idziemy? – Znow wstrząsnął nią dreszcz.

– Myślałem, że mieliśmy umowę – powiedział. – Odstawiam cię do Rajskich Pól, a ty mi płacisz. Założyłem, że chcesz się tam znaleźć w miarę nienaruszona.

– Owszem.

– W takim razie zamierzam zamknąć cię u siebie, dopóki nie załatwię ci bezpiecznego powrotu do domu. Inaczej nie postawię na ciebie więcej niż na jednonogiego koguta, którego wystawił w zeszłym tygodniu Szpachla w przypląwie typowej dla niego durnoty. Mam nadzieję, że nie muszę dodawać, jak skończył? Kogut, nie Szpachla. Szpachla zachlał się w trupa.

Tymczasem miasto powoli budziło się do życia i na ulicę wylewali się nadludzie, do których w Rajskich Polach nigdy by się nie zbliżyła, stopniowo zapełniając i tak wąskie uliczki. Otoczyło ją morze kręconych i falowanych włosów. Smród i duchota stawały się nie do wytrzymania, podobnie jak gwar. Na szczęście w tym tłoku mało kto zwracał na nich uwagę. Jedynie mostki i kładki dawały nieco przewiewu, ale do samych kanałów czuła obrzydzenie. Nadludzie wrzucali do nich śmieci i nieczystości albo załatwiali w nich swoje potrzeby. Starła się odwracać wzrok, ale i tak zobaczyła dużo więcej, niżby chciała.

– Co ci? – zapytał wesoło jej towarzysz. – Czyżby w pięknych Rajskich Polach nikt nie srał do kanałów?

Skrzywiła się, słysząc ten ordynarny dobór słów, ale nic nie powiedziała. Gdyby otworzyła teraz usta, mogłaby wymiotować.

– Kanały to dla nas źródło życia – mówił dalej Tanuril, prowadząc ją dalej. – Karmią nas, pozwalają pozbyć się niewygodnych rzeczy i nadludzi... A tak swoją drogą, kto cię wepchnął do kanału?

Na wspomnienie poprzedniej nocy przeszedł ją dreszcz.

– Nikt – rzekła krótko, zadzierając wyżej podbródek. Nie zamierzała przyznawać się do tego, że wpadła do wody ze swojej własnej winy, nie powiedziała więc nic więcej, a on już nie pytał.

Weszli w budynek, który mogła określić jedynie jako architektoniczny koszmar. Przypominał na wpół zrujnowany, olbrzymi dom, jakby kilkudziesiąt pokoleń rozbudowywało jedną klitkę, każde według własnej fantazji. Pomieszczenia przechodziły w inne, czasem dzieliły je małe podwórka, czasem okna, niektóre zamurowane, inne wychodzące tylko na sterty gruzu.

Od zaduchu i woni w środku ledwo dało się oddychać. Nadludzie zalegali po kątach i podłogach wśród naniesionego błota. Był to prawdziwy labirynt i jeden wielki barłóg. Wszędzie wisiały hamaki, bez żadnego porządku, sięgając pod sam sufit na podobieństwo olbrzymiej pajęczyny. Idąc, musieli się pod nimi schylać albo przekraczać te wiszące najniżej.

– To Zwalony Kocioł – powiedział Tanuril z krzywym uśmieszkiem. Zdawało się, że patrzeć, jak Laila słania się na nogach, sprawia mu przyjemność. Jemu duchota zdawała się w ogóle nie przeszkadzać. Wchodzący i wychodzący wciąż się o nich ocierali, Laila miała wrażenie, że każdym dotknięciem zostawiają na niej warstwę brudu.

– Panie Aave. – Ktoś pociągnął nadmężczyznę za rękaw, leżąca blisko drzwi nadkobieta, tak zakutana w poszarpany koc, że widać było jedynie plamiste ręce i wychudłą twarz.

Odwrócił się do niej niechętnie.

– Czego chcesz?

– Mam coś, co może pana zainteresować – powiedziała przymilnie. Uniosła w jego stronę małe zawiniątko. – Będzie pan zadowolony. Śliczny aniołek, a oczka ma takie błękitne. Proszę, poratujcie biedną kobiecinę! Zlitujcie się nad maleństwem!

Nadmężczyzna się skrzywił.

– Dobrze wiesz, że nie handluję dziećmi – powiedział, odpychając ręce nadkobiety. Zawiniątko poruszyło się niespokojnie. – Musisz spróbować u Glazera. Ale nie licz na wiele. Woda podniosła się w tym roku wcześniej, wszystko drożeje. Nie dostaniesz dobrej ceny.

Zostawił nadkobietę, odtrącając jeszcze kilka wyciągniętych dłoni.

Gdzie ja jestem, na Boga Wszchemogącego?, pomyślała Laila. Jej twarz wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia. Kim trzeba być, żeby sprzedawać swoje dziecko? Kim trzeba być, żeby je kupować?! Zaprawdę, wiele mądrości było w boskim prawie, które oddzielało sprawiedliwych od grzeszników.

Na szczęście Zwalony Kocioł wkrótce się skończył. Mijane ulice zaczęły wyglądać nieco porządniej, choć wciąż nie spełniały najniższych standardów bezpieczeństwa, o czystości nawet nie wspominając.

– Już nie daleko – zapewnił ją Tanuril, kiedy mijali kolejny, tym razem płytki kanał. – Tam, na zachodzie jest targ. A tu mieszka elita naszej małej społeczności.

Wkrótce zapraszającym gestem otworzył przed nią niemilosierne skrzypiące drzwi. Mały pokój znajdował się na trzecim piętrze odrapanej kamienicy. Wspięli się do niego po wąskich, trzeszczących schodach, w których brakowało kilku stopni. Klatka nie była oświetlona. Laila pomyślała, że łatwo można by tu złamać nogę, albo i skrócić kark.

Pokój był mały, ciemny i odrapany. Czające się w półmroku łóżko miało jedną nogę krótszą, podpartą do cna przerdzewiałym żelazkiem. Obok stała ledwo oheblowana szafa i skrzynia z taniego drewna, na środku krzywy stół i dwa krzesła. Wyglądały, jakby ktoś zbił je własnoręcznie ze starych desek. W kącie kulił się mały żeliwny piecyk z niewielką płytą kuchenną. Worek węgla, emaliowana miednica z dzbankiem, blaszane wiadro i trochę sprzętów kuchennych stanowiły cały widoczny dobytek, jakim mógł się pochwalić ich właściciel. Całe pomieszczenie z łatwością zmieściłoby się w jej garderobie.

Od jedynego okna, z szybą przysłoniętą okiennicą, ciągnęło wilgotnym powietrzem. Zza ściany słyszała rozmowę, okopcony sufit zadudnił i ugiął się lekko, gdy ktoś przeszedł im nad głowami. Jak na tutejsze standardy była to pewnie luksusowa kwatery. Wystarczyła krótka wycieczka po Rioko, by Laila to doceniła.

– Najpierw kilka zasad – rzucił Tanuril, gdy drzwi się za nimi zatrzasnęły. – Wchodzisz, zdejmujesz buty, chyba że chcesz potem sprzątać. Siedzisz tutaj. Nie wychodzisz, jeśli ci nie każe. Z nikim nie rozmawiasz, jeśli nie jest to konieczne. Nie dotykasz moich rzeczy. Czy to jasne?

– Jak sam boski blask – zgodziła się niechętnie. Oczywiście przy drzwiach nie było zydła, na którym mogłaby przysiąść. A już tym bardziej służby, która mogłaby jej pomóc. Wbrew pozorom zdejmowanie butów wcale nie było proste, gdy miało się na sobie gorset.

– Doskonale. – Iskrą z dłoni zapalił stojący na stole ogarek świecy. – Możesz się umyć, jak chcesz, a ja idę skombinować coś do jedzenia. – Podeszedł do szafy i rzucił jej spłowiałą szmatę, która prawdopodobnie miała być ręcznikiem, i bardzo mały kawałek szarego mydła. Wyszedł, pogwizdując, zanim zdążyła zapytać, gdzie może wziąć kąpiel. Jego kroki zadudniły na schodach, potem ucichły.

Laila ponownie rozejrzała się po małym pokoiku. Nie wyglądało na to, żeby gdzieś miała być łazienka. Uznała, że najwyraźniej musi skorzystać z leżącej na stole miednicy i wody z dzbanka. Popatrzyła z nadzieją na piecyk, ale był wygaszony. Nie miała pewności, czy umiałaby w nim rozpalić ani ilu primionów musiałaby użyć. Po kąpeli w rzece zostało jej ich bardzo niewiele. Czowała, jak niemrawo suną po skórze, jakby zniechęcone brakiem

towarzystwa. Prawdopodobnie nieświadomie zużyła większość, żeby nie zamarznąć na śmierć, kiedy była nieprzytomna.

Postanowiła pójść na łatwiznę, która i tak w obecnej sytuacji wydawała się czynnością niemal ponad siły. Nalała wody do miski, podwinęła rękawy, zanurzyła dłonie i sprawiła, że zaczęły emanować ciepłem. Czekając, aż woda się nagrzeje, Laila zapatrzyła się w tatuaż na lewym nadgarstku. Stylizowaną jedynekę, znak jej szlachetnego pochodzenia, otaczały kwiaty, oplatające leżący na otwartej księdze miecz, herb rodu Hencelrinków. Zamówiła ten wzór wkrótce po tym, jak osiągnęła pełnoletniość. Zdobienia wokół tatuaży kastowych były modną praktyką w Tremoriale; od niewielkich wzorów, zdobiących damskie nadgarstki, po całe rękawy u co bardziej ekstrawaganckich nadmężczyzn.

Woda była ledwie letnia, kiedy skończyły jej się ostatnie primiony. Nie miała to być najprzyjemniejsza kąpiel jej życia, ale musiała się tym zadowolić.

Teraz odrobina prywatności. W ścianie obok piecyka znajdowała się maleńka, prostokątna wnęca ze sznurkiem na pranie, rozwieszonym między dwoma hakami. Przerzuciła przez niego postrzępiony koc z łóżka, tworząc prowizoryczną, ciasną przebieralnię. Zrzuciła płaszcz i zaczęła zdejmować zeszywniałe od błota ubranie.

Nie było to łatwe. Suknię uszyto z myślą o zakładaniu i zdejmowaniu z pomocą służby. Sporo przekleństw padło z jej ust, zanim udało jej się wreszcie rozpiąć maleńkie guziczki w rękawach i na plecach. Samodzielne rozsznurowanie gorsetu było niewiele łatwiejsze, nie mówiąc o namokniętych wstążkach podtrzymujących halki i wałki uwypuklające spódnicę. Wreszcie udało jej się pozbyć odzienia. Ustawiła miednicę we wnęcie na chybotliwym krześle i w samej koszulce i pantalonach zniknęła za zasłoną. Koc wisiał na tyle nisko, że zapewniał jedynie pozory przyzwoitości, za to drugi koniec włókł się lekko po ziemi. Postanowiła się pospieszyć i skończyć cały ten ambaras, zanim wróci Aave.

Panna Hencelrinki jeszcze nigdy nie myła się w miednicy. Drżała od spływających po plecach letnich strumyczków i mimo jej starań sporo wody znalazło się na podłodze, ale przynajmniej pozbyła się wreszcie smrodu kanałów.

Kończyła właśnie płukać włosy, kiedy usłyszała kroki na schodach. Zamiast zacząć się oddalać, kroki ucichły tuż pod drzwiami. Laila znieruchomiała jak spłoszony królik. Na dodatek dotarło do niej, że słyszy nie jeden, a dwa głosy.

– No to jej powiedziałem, żeby się odpieprzyła – powiedział ten drugi, niższy i bardziej nosowy niż głos Tanurila.

Skrzypnęły drzwi, zawiało zimnym powietrzem. Laila natychmiast zanurkowała, do końca kryjąc się za zasłoną i tylko cudem nie strącając miednicy z krzesła. Skrzypnęła podłoga, rozległ się charakterystyczny dźwięk butów skopywanych z nóg. Obcy głos mówił dalej:

– Cztery regale to cztery regale i ani grosza więcej. Chyba że chce, żeby moja pięść zrobiła jej kalafiora z twarzy.

Parsknięcie.

– Zawsze tak gadasz, a potem nigdy żadnej nie bijesz. Gdyby nie inni nadmężczyźni w Rioko, już dawno wyszedłbyś na durnia.

– Nie pieprz bzdur, tylko pokazuj, co masz.

Laila poczuła, że serce w niej zamiera. Czyżby Aave tylko pozornie zgodził się jej pomóc, a tak naprawdę miał wobec niej zupełnie inne plany?

Sięgnęła powoli po leżącą obok koszulę, ale natychmiast się rozmyśliła. Nawet najmniejszy ruch w ciasnej wnące poruszyłby kocem i zdradził jej rozneglizowaną obecność. Zacisnęła zęby. Nigdy w całym swoim życiu nie czuła się tak upokorzona.

– Co powiesz na to? – rzekł Tanuril.

Chwila ciszy, szelesty.

– Skąd żeś to wziął?

– A jak myślisz? Rzeką spłynęło.

Czyli jednak nie chodziło o nią. Poczowała przypływ ulgi i złości jednocześnie. Skoro Aave nie miał wobec niej żadnych odrażających zamiarów, to dlaczego bawił się jej kosztem? Mówił, że chce utrzymać jej obecność w tajemnicy, więc po co kogoś zapraszał? A jeśli to ktoś zaufany, mógł jej to powiedzieć i najzwyczajniej w świecie podać jej ubranie, a nie zmuszać, żeby się kryła jak kochanka przed zazdrosną żoną.

– Mhm. – Obcy nie wydawał się pod wrażeniem.

– Ale jak nie chcesz, to mam jeszcze komu pokazać. Mnie tam za jedno – odpowiedział równie obojętnie jej gospodarz.

– Nie no, czekaj. – Znowu szelesty. – Zaraz się spieszysz, jakby było do czego. Niby to ładne, ale ja wiem... Kwarantanna w tym roku ciśnie mocno. Nie wiem, czy kto ci da dużo forsy za parę szmat.

– Ty chyba bab nie znasz. Bieda biedą, szmata szmatą. Zresztą przyznaj, w życiu nie miałeś w rękach czegoś takiego. Pomyśl, za ile to pójdzie! W Podgórzu rzucają się na to z pazurami! Sam bym sprzedał po kwarantannie, ale szczerze mówiąc, trochę forsy przydałoby mi się już teraz. Patrz na to, same koronki i inne takie! A te białe cudeńka? Czysty jedwab!

– Ano, niby jedwab...

– A nie pokazałem ci jeszcze najlepszego. Prawdziwa skóra, nowiutka, niech mnie zamkną w rezerwacie! Pokazuję ci pierwszemu, tylko z uwagi na naszą długoletnią przyjaźń.

Ale jeśli je weźmiesz, to nie masz ich ode mnie – zaznaczył Tanuril. – Jak Danubia się dowie, że ją ominął taki towar, to urwie mi głowę. A z nią nie chcę zadzierać.

– A ile byś chciał? – mruknął w końcu obcy, po długiej przerwie.

Chwilę targowali się o cenę, narzekając na kwarantannę, ceny cebuli i gruzlicę. W końcu brzęknęły pieniądze, padły słowa pożegnania wraz z obietnicą powtórnego spotkania jeszcze tego samego popołudnia. Powiało zimnym powietrzem, trzasnęły drzwi.

Usłyszała kroki, a potem stukot garnków na piecu.

– Poszedł już? – zapytała, dygocąc.

– Mhm.

Błyskawicznie wciągnęła na siebie koszulę i odetchnęła z ulgą.

– Rzuć mi ubranie – rozkazała.

Koc zafalował, kiedy uderzył w niego miękki tobołek.

– Nie musisz się chować – burknął nadmężczyzna – Widziałem już wiele gołych bab w życiu, Rakuta też swoje widział. Jedna mniej czy więcej, wszystko jedno. Nie masz tam niczego, czego nie mają inne.

Zignorowała go i rozwinęła kłębek szmat.

– To... nie jest moje – zauważyła zdziwiona. Zszarzała, połatana koszula, wiązany z przodu gorset, z rodzaju, jaki nosiły posługaczki, za duży, rozciągnięty sweter, szorstkie sztruksowe spodnie i szelki. Całości dopełniała para długich do kolan, dziurawych skarpet.

– Twoje było mokre i śmierdziało.

Niechętnie wciągnęła nowe odzienie. Musiała wyglądać żałośnie, jak wyjątkowo obdarty chłopiec na posyłki. Wiele pracujących kobiet nosiło spodnie, ale Laili brakowało szeleszczących spódnic. W spodniach czuła się naga. Każdy mógł bez wysiłku obłapać wzrokiem linię nóg i bioder. Szorstki materiał drażnił skórę, ale ubranie było cieplejsze i wygodniejsze od przemoczonej sukni. Na razie musiało wystarczyć.

Wyszła zza prowizorycznego parawanu, rozczesując palcami mokre włosy. Jej uwagę natychmiast przyciągnęła szarawa ryba, już bez łusek, leżąca na desce na środku stołu. Wyglądała, jakby jakiś czas temu zdechła w którymś z kanałów.

– Wygląda obrzydliwie – stwierdziła Laila, zaglądając w mętne, zielonkawe oczka. – Jesteś pewien, że jest jadalna?

– Możesz nie jeść – skwitował kwaśno Tanuril. Kucnął przy piecyku, otworzył drzwiczki i dłuższą chwilę przy nim majstrował. Po chwili trzasnął wesoło płomyk. Nadmężczyzna zgasił ogarek świecy i otworzył okiennicę, wpuszczając do pomieszczenia słabe poranne światło, a przynajmniej to, co z niego zostało po przedostaniu się przez grubą warstwę chmur, smogu i przyciskających się do siebie ciasno dachów domów. Wątpliwe, czy do mieszkań na parterze docierał choć promyk słonecznego światła.

Laila znów spojrzała na rybę. Cóż, była głodna. Właściwie to umierała z głodu. Jeszcze chwila i pewnie zjadłaby ją na surowo. Nie zmieniało to faktu, że miała już dość grubiaństwa gospodarza. Nawet sześciolatek chłopiec na posyłki, który pracował w rezydencji Hencelrinków, był lepiej obeznany z kulturą niż ten tutaj.

– Nie wiesz, jak należy się zwracać do szlachcianki? – spytała chłodno, prostując się. – Wybaczam ci tę impertynencję, bo widzę, żeś prosty nadczłowiek, ale od teraz, kiedy jesteśmy sami, masz mnie tytułować panią albo jej wielmożnością.

– Nie, raczej nie – rzekł, otrzepując ręce z węglowego pyłu.

– Słucham? – Niejeden dałby wiele, by ujrzeć oniemiałą pannę Hencelrinki.

– Widzisz – przepchnął się obok i usiadł za stołem – jeśli będę cię tak nazywał, ktoś może to przez przypadek usłyszeć. Albo pomylę się w końcu i nazwę cię tak na ulicy. Nie warto ryzykować. No chyba że jest w tym jeszcze jakiś inny cel poza łechtaniem wielkopańskiej próżności? – Podniósł na nią spojrzenie. Ton głosu wyraźnie świadczył, że nikt nie jest bardziej od niego zainteresowany poznaniem odpowiedzi na to pytanie. Gdy jej nie uzyskał, znów zajął się rybą.

Poirytowana Laila kucnęła przy piecyku. Po chwili od drzwiczek zaczęło bić miłe ciepło.

Nagle przypomniała sobie o mokrym ubraniu. Nie było tu służby, która się o nie zatroszczy. Jeśli zostawi je zwinięte w kłębek na podłodze, nie wyschnie. A może nawet zacznie pleśnieć w tych podłych warunkach. Poszukała wzrokiem sukni. Na próżno. Minęła dobra chwila, zanim wreszcie połączyła fakty.

– Ty... – Słowa utknęły jej w gardle. – Sprzedałeś moje ubranie!

Tanuril dalej patroszył rybę.

– Rakuta był zachwycony – stwierdził z pewną dumą. – Takich rzeczy nie spotyka się w Rioko. Nawet w Podgórzu niełatwo położyć łapy na takim towarze. Warta każdego grosza, który z niego wyciągnąłem, a Rakuta i tak odbije to sobie z nawiązką, jak ta głupia kwarantanna się skończy. Oczywiście resztę zapłaci mi później, nikt tutaj nie nosi takiej forsy po kieszeniach, ale to uczciwy nadczłowiek – dodał, jakby to miało być jej główne zmartwienie. – A te buty!

Szybki rzut oka w stronę drzwi potwierdził, że trzewiki także zniknęły. W ich miejscu stały teraz rozczłapane botki ze skórzaną łąką na czubku.

– Zdajesz sobie sprawę, że za okradzenie szlachcianki grozi śmierć przez powieszenie? – wycodziła, czując, jak ogarnia ją wściekłość. Pozwalał sobie na za dużo. Brak szacunku i wulgarne słowa to jedno, ale kradzież?! Jej ojciec nigdy nie puściłby płazem takiego zachowania.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli nie jesz, to zdychasz z głodu? – zapytał spokojnie. Pytanie i jego opanowanie zbiły ją z tropu.

– Co to ma do rzeczy? – zapytała ostro.

– Masz pieniądze, żeby kupić sobie jedzenie?

Nie odpowiedziała. Na co dzień nie nosiła przy sobie pieniędzy, bo i po co, i tak wszystko kazała dopisywać do rocznego rachunku. A całą biżuterię zdjęła zaraz po powrocie od Suwarowów.

– Więc pewnie zakładasz, że będę cię gościł i karmił, mimo że większość Rioko uważa się za szczęściarzy, jeśli pod koniec kwarantanny mają do zjedzenia stare ziemniaki i trochę kiszonych ogórków? – Łypnął na nią znad stołu. – Za sukienkę, wszystkie inne drobiazgi i buty dostaliśmy forszę, która pozwoli nam przez jakiś czas nie martwić się o twoje utrzymanie. Jak zresztą widzisz, kupiłem ci też niezgorsze ubranie, w którym nie będziesz się wyróżniać, gdybyś musiała wyjść na zewnątrz.

Przez chwilę patrzyła, jak pracuje, zaciskając zęby. Emocje burzyły się w niej tak gwałtownie, że ledwie mogła je opanować. Wściekłość na Aave, jego grubiaństwo i zadzieranie nosa. Wściekłość na siebie i swoją bezradność. Nawet nie pomyślała o tak przyziemnych rzeczach jak kupno jedzenia czy ubrania. Tak czy tak, buta mieszańca przekraczała wszystkie granice. Może i miał rację, ale powinien był najpierw zapytać o pozwolenie, zanim ot tak sprzedał jej własność. Laila znajdowała się na jego łasce, ale tylko do czasu. Lepiej, żeby o tym pamiętał.

– Uważaj, Aave – powiedziała cicho, patrząc na niego zimno. – Możesz mieć rację w tej sprawie i wszystkich poprzednich. Ale kiedyś w końcu się pomylisz. Jeśli do tego czasu nie staniesz się trochę grzeczniejszy, możesz się znaleźć w naprawdę nieprzyjemnej sytuacji.

Zerknął na nią, chyba lekko zdziwiony, ale ani nie odpowiedział, ani nie przeprosił.

Ryba była gumowata i bez smaku, napełniła też pokój zapachem smażenia, jednak Laila pochłonęła ją w mgnieniu oka. Ciepłe jedzenie i kubek gorącej herbaty w końcu wyгнаły z niej większość zimna. Niestety, potem czekało ją przerażające przeżycie, jakim okazała się wizyta w wygódce na podwórzu.

Gdy wróciła, pokój był pusty. Przez następne parę godzin nudziła się niemiłosiernie, przewracając z boku na bok na potwornie twardym łóżku. Miała nadzieję, że nie znajdzie w nim pluskiew. Czuła charakterystyczne mrowienie skóry, towarzyszące powstawaniu nowych primionów w miejsce tych, które zużyła. Jak to się działo? Skąd organizm wiedział, ile ich stworzyć? Czy były wytworem skóry, czy może raczej powstawały w duszy nadczłowieka i po prostu przez nią przenikały, by wydostać się na zewnątrz?

Nadludzie zadawali podobne pytania od wieków. Zarówno uczeni, jak i Kościół skłaniali się ku drugiej hipotezie. Dobra, silna, czysta dusza produkowała dużo primionów. Słaba i wypaczona mało. Ludzie nie mieli duszy, więc w ogóle nie tworzyli cząstek, a ich skóra była martwa w dotyku. Jeśli odwróciło się to rozumowanie, primiony stawały się miernikiem moralności nadczłowieka. Mała liczba cząsteczek była implikacją wątpliwej duszy, a więc większej skłonności do zła i grzechu.

Dwoista natura primionów od zawsze fascynowała profesorów, artystów i filozofów. Według wszelkich dostępnych metod badawczych wydawało się, że wszystkie są tym samym, a jednak część z nich krążyła swobodnie po skórze, gotowa na życzenie właściciela zmienić swoją istotę, podczas gdy reszta pozostawała wbudowana w ciało, stała i niezmienna.

Laila raz za razem wspominała wczorajszy upadek do kanału i pluła sobie w brodę za nieodpowiedzialność. Gdyby nie zamarzyła jej się ta nieszczęsna przechadzka, dalej siedziałyby bezpiecznie w domu. Z rozmyślań co chwila wyrывały ją głosy zza ścian. Postanowiła się w nie wsłuchać, licząc, że czegoś się dowie.

– Nadludzie na dół od Kotła już z głodu łążą po ścianach – dobiegało z prawej. – Od lat nie pamiętam, żeby tak długo łąło.

– Ano, podobno kolejny się powiesił. Przez lichwiarzy z Zaułka.

– No, nie on pierwszy i nie ostatni. Ale słyszałem – nadmężczyzna ściszył głos – że rodzina zjadła go całego, co do kosteczki. Mieli już dość jedzenia szczurów.

– Głupiś, wszyscy wiedzą, że od jedzenia nadludzi gnije mózg! Czego to ludziska z nudów nie wygadują!

Odwróciła się na drugi bok, nakrywając głowę ramieniem.

– Boże, ja już z nim dłużej nie wytrzymam – perorowała nadkobieta, gdzieś z góry i po prawej. – Łajdak i pijus pieprzony. Łazi po mieście i przepija moje ciężko zarobione pieniądze. Dziwkarz jeden! Zobaczysz, wróci zalany w sztok. Niech spróbuje pokazać tu ten swój czerwony nos – huknęło, jakby właścicielka głosu podkreślała słowa pięścią – a dostanie patelnię przez łeb, mówię ci, Ina! – Po jakimś czasie wojownicze okrzyki zastąpiły dźwięki i zapachy przygotowywanego jedzenia.

Pannę Hencelrinki zaczęło męczyć pragnienie, ale nie wyglądało na to, żeby w tej ciasnej izbie mogła znaleźć cokolwiek, co nadawało się do picia. Cebrzyk, z którego Aave

wcześniej nabierał wody, był pusty. Może powinna nabrać trochę z najbliższego kanału? Nie była to zachęcająca perspektywa, zwłaszcza że Laila miała nie wychodzić na zewnątrz. Piecyk powoli wygaszał. Nie wiedziała, czy powinna do niego dołożyć, a jeśli tak, to ile.

Opadła bez sił na łóżko i czekała, aż wróci Tanuril. Nagle uświadomiła sobie, że właśnie odbywa się pogrzeb Waldora. Wszyscy szanowani nadludzie zebrali się w Bazylice, by pożegnać dziedzica drugiej co do wielkości fortuny kraju. Za chwilę kondukt odprowadzi go ulicami miasta. Dokładnie знаła trasę pochodu, kilka dni wcześniej starannie wybrały ją z matką Waldora. Oczywiście kondukt nie przejdzie nawet w pobliżu Rioko. Nieobecność Laili na pewno została zauważona. Miasto musiało huczeć od plotek, a Suwarowowie z pewnością śmiertelnie się obrażą. A ojciec i matka? Jak musieli się czuć, kiedy rano nie zastali jej na śniadaniu?

Znów zaczął lać deszcz, bębniąc głośno o szybę. Pokoik ogarnął półmrok. Laila doszła do wniosku, że wbrew przewidywaniom największym wyzwaniem tej eskapady nie będzie przetrwanie, tylko przeraźliwa nuda. Przewróciła oczami, gdy przypomniła sobie ostatnio czytane przygodowe książki. Jakoś ich bohaterki nigdy nie jadły podłej ryby i nie spędzały czasu na poszukiwaniu wygodki. Odgoniła myśl o wygodnym fotelu w domu, przy oknie biblioteki, w którym lubiła oddawać się lekturze. Żeby się czymś zająć, podeszła do szafy i zajrzała do środka. Na środkowej półce, obok ubrań, spostrzegła dwie podniszczone książki. *No proszę, proszę*, pomyślała zaskoczona. *Więc pan cham potrafi czytać.*

W grubszej rozpoznała Zapis, świętą księgę napisaną przez Cyntiora, pierwszego Arcysługę, w czasach tuż po Podziale, gdy Kościół stawiał dopiero pierwsze niepewne kroki na ziemiach przyszłego Imperium Pana. Zapis miał prostą, spłowiałą okładkę, a kartki pożółkłe i pofałdowane od wilgoci. Mimo to książka była w dość dobrym stanie, w przeciwieństwie do drugiej. Tamta wyglądała, jakby ktoś kiedyś wyciągnął ją z kanału. Okładka była poplamiona, kartki powyginane i poobrywane. Na dodatek cuchnęła pleśnią. Napis na okładce głosił *Przygody Pawariusza Wolanta, nieustraszonego rycerza Albanionu.*

Wzięła obie książki i rozparła się z nimi na łóżku. Uniosła rękę i korzystając z częściowo odnowionych primionów, stworzyła w powietrzu kulkę światła. Szkoda, że nie miała primionowej lampy. Bez ochronnego klosza cząsteczki mogły się rozproszyć od najbliższego powiewu powietrza jak stado spłoszonych robaczek świętojańskich. Ostrożnie otworzyła Zapis na fragmencie przeznaczonym na dzisiejszy dzień.

„Lecz Pan wiedział, że nawet ten nowy, doskonalszy lud będzie potrzebował przewodnika, by nie upaść tak, jak jego poprzednicy. Był pośród nich jeden szczególnie oddany Bogu, a zwał się Cyntior Pisarczyk, gdyż piórem zarabiał na życie. Przemówił Bóg do Cyntiora i zawołał jego imię. Cyntior posłyszał, lecz zdało mu się, że to tylko wiatr śpiewa między drzewami. Ponownie wyrzekł Pan imię jego, lecz zdało mu się, że to deszcz szumi cicho. Zawołał Pan po raz trzeci i wtedy pisarz zdumiał się. »Kim jesteś?, zapytał, choć nie wiedział, ku komu kieruje słowa.

»Jam jest Pan, który wywyższył twój lud ponad wszelkie stworzenie. Ten, którego gniew zmiażdżył grzeszników i ciemężycieli. Jam jest Stwórca, Obrońca i Niszczyciel«.

A był to Głos tak dźwięczny i potężny jakby tysiąc dzwonów ze spiżu. Upadł Cyntior na kolana, porażony strachem.

»Ja tedy mówię ci – porzuć swą pracę i idź. Idź ciągle na wschód, aż trafisz na ruiny miasta. Usiądź na kamieniu i słuchaj, albowiem Pan ma dla ciebie zadanie«.

Wziął tedy Cyntior torbę i poszedł, aż trafił na miasto obrócone w ruinę. Usiadł na kamieniu w samym jego sercu, gdzie żaden nadczłowiek ani inna żyjąca istota nie mogły mu przeszkodzić. A gdy otoczyła go cisza, ponownie otworzył się na Głos. »Ujmij pióro«, usłyszał. »Bądź mi posłuszny. Wznies się ponad doczesne pragnienia, a otrzymasz władzę bez korony, bogactwo bez złota, a twoje dziedzictwo będzie nieśmiertelne«.

I Pan otworzył przed nim swój umysł i pozwolił mu Poznać. Słup światła uderzył w niebo, a wspaniałość i bezmiar tego, co ujrzał, rozdarła umysł Cyntiora, a oczy poraziła ślepotą. Krzycząc z bólu, rozdarł swe szaty. Padł na ziemię, gdzie trwał w męce ekstazy, w blasku bożej chwały.

Wreszcie Pan go opuścił, lecz Cyntior został odmieniony. Choć oczy jego wciąż były ociemniałe, potęga boża była z nim. Trzy dni minęły, nim wróciły mu zmysły i odzyskał władzę nad ciałem. A gdy nadeszli nadludzie, by sprawdzić, co oznaczał ów niezwykły blask, stanął przed nimi, obcy, obleczony w ohydę grzechów świata i spowity w bożą chwałę.

»Radujcie się«, rzekł, gdy nadludzie w strachu padli przed nim na kolana. »Gdyż wielki jest Pan, który mnie posłał, abym wam służył«.

Zamknęła księgę. Nie miała ochoty czytać teraz o tym, jak święty mąż po przeistoczeniu w pierwszego Sługę zaczął tworzyć Zapis i powoływać do życia Kościół. Przygody nieustraszonego rycerza okazały się znacznie bardziej zajmujące, choć niektórych kartek brakowało. Mimo opłakanego stanu książka musiała być używana, bo otworzyła się na miejscu zaznaczonym wyblakłym obrazkiem przedstawiającym panoramę Tremoriału, z balonem unoszącym się obok najwyższej wieży.

Laila z przyjemnością zagłębiła się w historię pięknego Pawariusza, który raz za razem ratował Albanion przed kolejnymi zagrożeniami. Czas umilały mu piękne królowny i znajdowane skarby, które – ponieważ oczywiście był bardzo szlachetny – w dużej części przeznaczal na biednych i domy dla sierot.

Jej kula światła prawie całkiem się rozwiała, nim wrócił Tanuril, wionąc lekko zapachem piwa. Natychmiast porzuciła lekturę i zapytała go o napitek.

– Jak to nie wiedziałaś... – wydawał się szczerze zdumiony. Potem, mrużąc coś o „pieprzonych bogaczach”, zaprowadził ją na podwórze i pokazał, jak używać stojącej tam pompy.

– Nadludzie będą się zastanawiać, kim jesteś – powiedział tak cicho, że ledwo go słyszała przez chłopot wody. – Będę im mówić, że jesteś moją krewniaczką z Podgórze, bo i tak nikt nie uwierzy, że jesteś stąd. Udawaj nieśmiałą i małomówną. Jak zaczniesz gadać, to zaraz się skapną, że coś jest nie tak.

– Co oni w ogóle tu wszyscy robią? Nie powinni pracować?

– Większość z nich ma robotę w Podgórzu. Część znalazła sobie drobne prace w Rioko, a reszta się byczy. Nawet gdyby chcieli coś robić, to nie mają u kogo.

Wrócili do środka. Tanuril wyjął z szafy dziwny lejek, do połowy wypełniony kamieniami, mchem i piaskiem. Położył go na dzbanku i nalał do środka wody z wiadra. Po chwili zaczął się sączyć mały strumyczek.

– Woda z pompy jest dość czysta – wyjaśnił – ale i tak lepiej ją przegotować, jeśli akurat pali się w piecu. Jeśli nie, trzeba przefiltrować.

– Sprytne – przyznała, przyglądając się urządzeniu. Nie sądziła, żeby miało być bardzo przydatne dla niej, w każdej chwili mogła przecież zagotować wodę, używając primionów. Ale to było fascynujące, jak mieszkańcy ciągle wymyślali sposoby, by obejść fakt, że mają w sobie cząsteczek tyle, co kot napłakał.

Tanuril przygotował im kolację – zaledwie parę kromek chleba z podeschłym żółtym serem.

– Ciekawa lektura – zauważyła Laila, z trudem gryząc twarde chleb i wskazując na *Przygody*. – Nie spodziewałam się, że lubisz czytać o szlachetnych rycerzach i pięknych księżniczkach.

– Miałaś nie ruszać moich rzeczy! – fuknął ze złością nadmężczyzna. – Jeśli już musisz wiedzieć, to nie miałem szczególnego wyboru lektury – dodał po chwili.

Czyżby lekko się zarumienił, czy to tylko światło świecy płatało jej figle? Dość, że od tego czasu nie odezwał się ani słowem. Z pewnością nie był mistrzem w zabawianiu gości rozmową. Kiedy świeca zgasła, podszedł do drzwi i zasunął ciężką zasuwę.

– Możesz spać na łóżku – powiedział. Wyciągnął z szafy kłęb szorstkiej tkaniny, która okazała się hamakiem. Był ładniejszy niż szare kokony, które widziała wcześniej, zszyty z kolorowych, nieco wypłowiałych pasów. Nadmężczyzna sprawnie zamocował go na hakach wbitych w ścianę w okolicy piecyka. Legowisko wisiało na tyle wysoko, że przechodząc pod najwyższym punktem, nie trzeba było nawet pochylać głowy. Na pewno było to praktyczne, ale Laila wiedziała, że nie zasnąłaby w czymś takim. Gdyby spadła z tej wysokości w czasie snu, w najlepszym razie mocno potłukłaby miejsce, w którym plecy tracą swą szlachetną nazwę, i jeszcze dziękowałaby Panu, że nie skręciła karku.

Tanuril ni to wskoczył, ni to wsunął się do środka jednym zwinnym ruchem, świadczącym o tym, że robił to tysiące razy. Nakrył się płaszczem. Materiał hamaka uniósł się po bokach niczym dwie ściany, oddzielając ich od siebie.

Laila nie miała nic, w co mogłaby się przebrać, więc po prostu wsunęła się między koce, starając się ignorować zapach stęchlizny. Chwilę leżeli w ciszy. Dziwnie się czuła, leżąc w ciemności w jednym pokoju z obcym mieszkańcem. Łóżko było strasznie twarde i niewygodne. Nigdy nie spała w hamaku, ale musiało w nim być jeszcze gorzej, skoro to cztery nogi, solidnie oparte o ziemię, zostały zwycięzcami ewolucji sprzętów domowych. Pewnie ciągnęło zinnem od spodu. I do tego ten przeciąg. Może powinna... W końcu Zapis surowo piętnował samolubstwo.

– Trzymaj – rzuciła jeden z koców Aave. – Nie chcę mieć cię na sumieniu, jeśli przewiejesz sobie nerki.

Teraz mi nie będzie całkiem ciepło, a jemu i tak nie będzie do końca wygodnie, pomyślała, zwijając się w kłębek. Z jakiegoś powodu ta myśl ją rozbawiła. *Znając moje szczęście, wypadnie w środku nocy i znajdę go rano na podłodze z przetrąconym karkiem.*

Tanuril mruknął coś niewyraźnie i umościł sobie nowe poślanie, aż hamak zabujał się energicznie. Laila upewniła się, że koce szczelnie owijają ją z każdej strony i zaczęła ogrzewać wewnątrz primionami, które zdążyła odnowić w ciągu dnia. Bała się zasnąć. Wprawdzie jak na razie Aave nie zrobił jej nic złego, ale pamiętała, co mówiono o mieszkańcach. Co jeśli obudzi się w nocy i postanowi ją zgwałcić? Nagroda nagrodą, ale podobno niektórzy z nich myślą jak zwierzęta. Żałowała, że nie ma noża, który mogłaby ukryć pod poduszką.

Długo wierciła się niespokojnie, słuchając pijackich śpiewów z ulicy, głosów i kroków. W końcu zmęczenie wzięło górę i zasnęła kamiennym snem.

Kiedy się obudziła, dobrą chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Parę minut leżała w półmroku i gapiła się w obcy, brzydki sufit, zanim wreszcie przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Razem ze wspomnieniami przyszło olśnienie.

ROZDZIAŁ III

Lecz ludzie zazdrościli wybranym darów, które otrzymali, i nie mogli znieść ich doskonałości. Zapłonęły stosy, zbudowano szubienice, niezczędzono ni dzieci, ni starców, ni kobiet, ni mężczyzn. Płacz straszliwy poniósł się nad powierzchnią ziemi. Nadludzie ukryli się, chowając swe światło przed oczami niegodnych. Mimo ucisku stawali się coraz liczniejsi, bo Pan był z nimi.

Zapis, Księga II, Prześladowania

Usiadła gwałtownie w burzy splątanych włosów. Jej gospodarz siedział ze skrzyżowanymi nogami obok otwartej skrzyni nad kupką jakichś drobiazgów, a przeświecające przez szczeliny w okiennicy słońce (wreszcie jakieś słońce!) rzucało na jego twarz złote prążki światła.

– Policja! – wyrzuciła z siebie bez tchu. – Zabierz mnie na posterunek straży!

Dlaczego nie pomyślała o tym wczoraj? To przecież oczywiste. Wystarczy, że pójdzie na posterunek, powie, kim jest, a oni z honorami odprowadzą ją do domu, licząc na sowitą nagrodę i odznaczenia. Mogła już dawno być u siebie, bezpieczna, czysta, wypoczęta, zamiast znosić brud, niewygody, okropne jedzenie i niemiłe towarzystwo. Mogła...

Tanuril wybuchnął głośnym śmiechem. Odrzucił do tyłu głowę, jedną ręką trzymając się za pierś. Śmiał się i śmiał. Laila zaplotła ręce i czekała, aż skończy. Co go tak ubawiło, na nicość? Boże, ależ był irytujący!

Po chwili nadmężczyzna odetchnął głęboko, ocierając łzy z oczu.

– Jesteś pierwszą osobą w historii Rioko, która dobrowolnie chce się oddać w ręce policji! Na wszystkich potępionych, nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko się skończy. To będzie najlepsza historia, jaką kiedykolwiek opowiadałem!

– Cieszę się, że cię rozbawiłam. – Panna Hencelrinki była zdecydowana nie dać sobie zepsuć humoru. – Na pewno ci się to przyda, kawalerze, bo jesteś kwaśny jak zleżała śmietana. A teraz zabierz mnie na posterunek. Powiem strażnikom, kim jestem, i każę się zabrać do domu. Już wkrótce będziesz mógł się do woli cieszyć swoją samotną gburowatością i brzękiem regali w kieszeni.

– Pomysł może i nie jest głupi – przyznał nadmężczyzna. Znów skupił się na leżących przed nim drobiazgach. Sortował je na kilka mniejszych stosów, nic sobie nie robiąc z półmroku w pokoju. – Ale i tak nie da się zrobić. Policji nie ma w Rioko.

– Jak to „nie ma”?

– Normalnie. Nie mamy tu posterunków, a jak tylko woda zaczyna się podnosić, patroli wycofują się z dzielnicy i zostawiają nas samych. Wracają po Nowym Roku, kiedy kończy się kwarantanna.

– Ale... – nie wierzyła własnym uszom – kto tu w takim razie pilnuje porządku?!

Tanuril tylko wzruszył ramionami. Laila otuliła się szczelniej kocem, rozważając to, co usłyszała. Strażą zarządzał w imieniu Kościoła jej ojciec. Nigdy nie słyszała, żeby opuszczali Rioko. Ale może był to po prostu drobiazg, na który nigdy nie zwróciła uwagi, bo nie wpływał w istotny sposób na resztę miasta?

Jej myśli zajął bardziej palący problem. Skoro nie było tu policji, tym bardziej powinna jak najszybciej przedostać się na drugą stronę rzeki.

– No dobrze. – Odgarnęła z twarzy splątane włosy. – W takim razie zabierz mnie do Sług.

– Myślisz, że skoro nie ma policji, to zostali tu jacyś Słudzy? – Palce nadmężczyzny zrećnie przebiegały wśród rozłożonych przedmiotów. Po chwili kilka srebrnych łyżek, kłódka i garść całkiem ładnych chustek wylądowały na odpowiednich stosach.

– Tak? To kto niby odprawia niedzielne nabożeństwa? – zapytała, wreszcie łapiąc go na oczywistym kłamstwie. – Kto oczyszcza serca z grzechów i naznacza pokutę? Kto kieruje życiem dzielnicy? Kto dba o to, by wszystko działo się zgodnie z planem Stwórcy?

– Nikt. Stwórca ma nas, mieszaićów, głęboko gdzieś. Ale nie martw się. Trupie Lilie wrócą po Nowym Roku na uroczystości na Wielkim Placu.

– Jak...! – To przekroczyło wszelkie możliwe granice. Jej dobry humor pękł jak bańka mydlana. – Jak śmiesz tak mówić o świętych mężach?!

Mógł obrażać ją, mógł się zachowywać poniżej wszelkich norm przyzwoitości, ale nie wolno mu było znieważać wybranych! Tych, którzy spełniali boską wolę i którzy własnym bólem płacili za zbawienie świata! Tych, którzy stali na straży między nimi wszystkimi a ludźmi! Wskoczyła z łóżka.

– Odszczekaj to! – Stała nad nim, zaciskając pięści.

– Bo co?! – warknął, przerywając swoje zajęcie i patrząc na nią hardo. – Nazywają mnie śmieciem. Nie pozwalają zarobić na godne życie. A wszystko dlatego, że urodziłem się tutaj, a nie w pieprzonym Podgórzu! Proszę bardzo, może i jestem śmieciem, ale będę ich sobie nazywał, jak mi się żywnie podoba.

– A któż ci zabrania szukać lepszej pracy? – zapytała drwiąco, zakładając ręce na piersi. – Proszę cię bardzo, idź i szukaj! Mało to rąk do pracy potrzebują w fabrykach? Nie chcesz?

Idź kłaść bruk w Rajskich Polach. Marzy ci się lepsze życie? Przestań marnotrawić pieniądze na piwo i dziewczki! Zaczynj odkładać, zostań subjektem albo naucz się rzemiosła. Jak tylko skończy się kwarantanna, zakasaj rękawy i bierz się do pracy. Bez tego nie oczekuj cudu od Boga!

Zawsze to samo. Biedacy zawsze próbowali obarczyć innych winą za swoje nieróbstwo, nieodpowiedzialność i brak troski o przyszłość. Do tego te ohydne bluźnierstwa! To wszystko było najlepszym potwierdzeniem wszystkiego, czego ją uczono o nadludziach jego rodzaju.

– Och, to takie proste! Jak mogłem wcześniej o tym nie pomyśleć! – zdumiał się prześmiewczo. – Wiesz, jaka jest dniówka w fabryce?

– Nie – przyznała niechętnie. Nie potrafiła wskazać konkretnej liczby, choć znając założenia, potrafiłaby zapewne całkiem nieźle wykalkulować koszt działania całego zakładu.

– Więc pozwól, że cię oświecę. Otóż nadmężczyzna z Rioko haruje czternaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Dostaje za to połowę z tego, co robotnik z Podgórze, mimo że wykonują tę samą pracę...

– Częściej nie przychodzicie do pracy i pracujecie mniej wydajnie – przerwała mu.

– Może dlatego, że jesteśmy na wpół zagłodzeni! – wycodził, czerwieniejąc na twarzy. – Więcej chorujemy, bo mieszkamy w jakichś na wpół przegniłych budach, których nikt inny nie chce, i nie stać nas na ogrzewanie, nie mówiąc już o lekarstwach! Nie przerywaj! Chciałaś przecież, żeby nasz biedak odmienił swoje życie! Kiedy już dostanie forszę, większość od razu idzie na czynsz za jedną z tych ruder, które właściciele zza rzeki w swej łaskawości nam wynajmują. Prawie wszystko, co zostało, idzie na chleb i węgiel, więc nie wiem, z czego według ciebie miałby odłożyć! – mówił z każdą chwilą coraz głośniejsze. – Bo jak zaciśnie pasa, to może uda mu się zaoszczędzić na parę butów, kiedy stare całkiem się rozleją. Ale oczywiście! Powinien zainwestować w edukację! Jeśli ktoś w ogóle zechce go gdzieś przyjąć, bo przecież wiadomo, że jak z Rioko, to złodziej! – skończył swój wywód, sapiąc ze złości.

– Skoro wszyscy są w tak rozpaczliwej sytuacji, to dlaczego nocami upijają się w sztok i wykrzykują po ulicach? – wytknęła. – Jakoś na to nie brakuje im pieniędzy!

Chwilę nic nie mówił, patrząc spode łba.

– Samogon jest tani jak barszcz, a przynajmniej pozwala zapomnieć o podłym losie – powiedział w końcu.

Laila prychnęła.

– To zwyczajna wymówka, Aave! – oznajmiła, machając ręką w stronę okna, przez które w nocy dolatywały pijackie śpiewy i odgłosy awantur. – To właśnie sprawia, że żyjecie tak, jak żyjecie! Myślisz, że Pan nie wystawia na próby nadludzi czystej krwi? Że nie zdarzają

się noce, kiedy boimy się nadejścia poranka? Że nasi bliscy nie chorują i nie umierają, mimo że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby im pomóc?

W gorączce klótni nieco się zagalopowała, argument o słabych i chorujących był mocno naciągany. Kiedy w czasach Podziału Pan rozdzielił sprawiedliwych od grzeszników, dał im primiony i wzmocnił ich dusze, czyniąc z nich nadludzi. Małeńkie cząsteczki leczyły ciało i broniły go przed słabością. Ci, którzy przez pokolenia pozostali wierni Bogu, nadal mogli cieszyć się pełnią Jego darów. Oczywiście nadludzie czystej krwi również podupadali na zdrowiu. Sama niejedną noc spędziła w łóżku. Ciężkie choroby zdarzały się jednak rzadko, a biegli w swym fachu medycy zwykle szybko stawiali pacjenta na nogi. Jeśli już ktoś umierał, najczęściej wiązało się to z podeszłym wiekiem.

Patrząc w zaciętą twarz nadmężczyzny, wiedziała, że nie może się przyznać do pomyłki. Uniósłby się zwycięstwem i nic, co powiedziałyby potem, nie mogłoby go przekonać.

– Wyobraź sobie, że nie jesteś jedyną cierpiącą duszyczką w tym mieście, Aave – powiedziała chłodno. – Mój narzeczony zmarł, mając ledwie trzydzieści jeden lat, mimo że jeszcze tydzień wcześniej cieszył się doskonałym zdrowiem. Jak widzisz, ani jego przed śmiercią, ani nas wszystkich przed żalem i rozpaczą nie uchroniło bogactwo, wiara czy nieprzebrane primiony. Więc przestań się zachowywać, jakbyście tu, w Rioko, mieli monopol na cierpienie! Mimo wszystko my jakoś nie załamujemy rąk i nie zalewamy się do nieprzytomności tanim bimbrem!

Oczywiście wygodnie dla siebie pominęła powód śmierci Waldora i pozwoliła, by nadmężczyzna wyciągnął błędny wniosek, iż Waldora pokonała naturalna choroba. Ale jeśli chodzi o ogół jej wyводу, miała przecież rację, więc jakie znaczenie miało to, że przedstawiła tylko część prawdy?

– Zresztą, to i tak nie wasza wina – dodała, wzruszając ramionami. – Wy, mieszkańcy, jesteście ułomni. Za długo brataliście się z ludźmi. Rozrzedziliście swoją krew i osłabiliście dusze. Jesteście istotami grzechu i słabości. Nawet gdyby Słudzy ulitowali się nad tobą, gdyby ci dali pieniądze i pozwolili żyć za rzeką, i tak prędzej czy później sam stoczyłbyś się w miejsce, z którego zdawało ci się, że się wyrwałeś.

– Sprawdziłaś to? – zapytał ostro. – Ilu nędzaczkom pomogłaś wyjść z biedy tylko po to, żeby patrzeć, jak staczają się z powrotem? A może tak ci tylko wmówiły Trupie Lilie?

– Zapis jest na to najlepszym dowodem! – warknęła zmęczona tą przepychanką. Już ona знаła takich jak on! Dość się o nich nasłuchiwała od ojca, Lupinora i innych wysokich oficerów straży. Biedni nieszczęśnicy, nie ma co! Lamentują na swój los i rozkładają bezradnie ręce. Migają się od uczciwej pracy, a potem napadają na sklepy albo okradają przechodniów na ulicach. Handlują podejrzanym towarem, wszczynają burdy i awantury. Ciekawe, skąd Aave, orędownik niewinnych i pokrzywdzonych, ma te wszystkie papierośnice, tabakierki i srebrne łyżki! Bo na pewno nie dzięki ciężkiej pracy własnych rąk!

Niedobrze jej się robiło od patrzenia w tę jego zaciętą, wyzywającą twarz, miała ochotę zatkać uszy, kiedy mieszał z błotem wszystko, co święte. Nawet nie szukała merytorycznych argumentów. Cedziła słowa, formułując je tak, by jak najbardziej zabolaly:

– Jesteście reliktem ludzkości, niewiele tylko lepszym od samych ludzi! Te żalosne kilka primionów to jedyne, co chroni was przed zamknięciem w rezerwatach! Z każdym rokiem zapadacie się w sobie i karlejecie! W końcu znikniecie całkowicie, co wszyscy wokół przyjmą z wielką ulgą. Zaakceptujcie to wreszcie, zamiast być niczym ropiejący wrzód na ciele miasta!

Chwilę patrzył na nią bez słowa.

– Pierdol się – powiedział w końcu i splunął jej pod nogi.

Zamachnęła się, żeby go spoliczkować. Chwycił ją za nadgarstek. Zaciskając palce jak imadło, wykręcił rękę, aż w oczach Laili zabłyśły łzy. Podniósł się powoli. Jego twarz miała tak straszliwy wyraz, że Laila przestraszyła się, że ją zabije.

Puścił ją nagle, aż jęknęła. Długimi krokami podszedł do drzwi, chwycił cholewy butów i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Zaczęła krążyć po pokoju, rozcierając rękę i dysząc głośno z wściekłości. Obrzydliwy bluźnierca! Lżyć Stwórcę i jego Sługi! I jeszcze splunął jej pod nogi! Jeśli myśli, że po powrocie zapłaci mu choć złamany grosz, to się grubo myli. Każe go wybatożyć, a potem na kolanach iść odpokutować do najbliższej świątyni!

A właściwie, dlaczego w ogóle pozwalała się tak traktować?! Nie bała się na tyle, żeby znieść bez słowa skargi to, że z niej szydzi i do tego jeszcze mówi takie rzeczy! Układ, który mu zaoferowała, był tak korzystny, że każdy inny biedak byłby ją gotów nosić na rękach, byle tylko pozwoliła mu sobie pomóc. Nie była zależna od Tanurila. To on był zależny od niej.

– Twoja strata, panie Aave – rzekła w powietrze. – Dziękuję za pomoc, ale obędę się bez twojej łaski.

Gdy odwracała się do wyjścia, przypadkiem potrafiła nogą jeden z ułożonych przez niego stosów. Była to przedziwna zbieranina przedmiotów rozmaitej wartości. Niektóre kupki składały się z całkiem niepotrzebnych drobiazgów, takich jak kłódki, puste słoiki czy kłębki sznurka. Gdzie indziej dostrzegła niezgorszy posrebrzany świecznik, trochę srebrnych sztuczków, kilka ładnych malowanych papierosnic, haftowane chustki do nosa i całkiem sporo jedwabnych kolorowych chust. Dalej leżały rzeczy na oko przeznaczone na odrzut. Spośród śmieci wystawał wąski trójkątny kawałek blachy długości dłoni.

W zasadzie, pomyślała, patrząc na ostrą krawędź i wąski szpic, *mógłby posłużyć za nóż*. Chwyciła go i ciasno owinęła sznurkiem szerszy koniec. Od razu poczuła się lepiej. Teraz przynajmniej miała broń. Wsunęła prowizoryczny nożyk za pas i ukryła pod swetrem. Na koniec wybrała najmniej kolorową chustę i owinęła nią głowę, chowając włosy.

Bez sentymentów zostawiła za sobą ciasną izbę. Przemknęła przez ciemną klatkę schodową i wyszła na zalaną światłem ulicę. Zamrugała. Po miesiącach ciągłego zimowego deszczu prawie zapomniała, jak ciepłe i złociste są promienie słońca.

Strumień naddudzi płynął we wszystkie strony, zostawiając w błocie głębokie ślady. Powietrze było wilgotne, niebo ciężkie od szarych chmur, gotowych lada chwila przysłonić słońce, a może i lunąć deszczem.

Dokąd powinna iść? Do kogo się zwrócić? Nie mogła po prostu zaczepić kogoś na ulicy, twierdząc, że potrzebuje pomocy, za którą jest gotowa hojnie zapłacić.

Potrzebny był jej ktoś zaradny, o dobrej reputacji i majątny, przynajmniej jak na standardy tego zapomnianego przez Boga miejsca. Policja i kapłani opuścili dzielnicę. Najbliższy urząd pocztowy znajdował się w Podgórzu. Raczej nie spotka w Rioko uczonych, fabrykantów czy bankierów, o arystokracji nie wspominając. Właściciel sporego sklepu, to chyba najlepsze, na co mogła liczyć.

Spojrzała w lewo. Stamtąd wczoraj przyszli. Nie pamiętała, żeby po drodze mijali choć jeden sklep, ruszyła więc w prawo, zdecydowanym, sprężystym krokiem. W świetle słońca wszystko wydawało się znacznie mniej przerażające niż poprzedniego dnia. Może przesadzała? Może Rioko wcale nie było tak niebezpieczne, jak się wydawało. W końcu to wciąż był Tremoriał, na Boga!

Rozglądała się w poszukiwaniu jakiegoś szyldu, zaglądała w przecznice. Wzdrygała się, gdy od czasu do czasu ocierał się o nią jakiś żebrak albo bezpański pies. Jednym uchem słuchała unoszących się dookoła rozmów. Jak zwykle narzekano na pogodę, koniec roku i ciężkie życie. Mieszkańcy Imperium uważali, że zawsze znajdzie się dobry powód, by wspólnie ponarzekać.

Szła już dość długo i wciąż nie natknęła się na nic, co by choć przypominało dom handlowy. Cóż, w Rioko pewnie nie było ich zbyt wiele. Chyba będzie musiała po prostu kogoś zapytać.

– Przepraszam – zagadnęła siedzącą w otwartym oknie nadkobietę, cerującą grubym sweter. – Gdzie znajdzie najbliższy sklep?

Nadkobieta spojrzała na nią dziwnie.

– Masz na myśli targ? – zapytała, marszcząc brwi.

– Nie, nie targ... zwykły sklep.

– Yyy... – Rozmówczyni wyraźnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Co chcesz kupić, koszulę? Pani Bobrowa szyje dobre, w przyzwoitej cenie. Mieszka tu, niedaleko, w czwartym domu po prawej. Na parterze.

– Ja... Hm, tak, dziękuję.

Laila ruszyła dalej, wciąż czując na sobie skonsternowane spojrzenie. Coś robiła źle, bo tamta wyraźnie nie wiedziała, o co pannie Hencelrinki chodzi. Przecież to niemożliwe, żeby w całym Rioko nie było ani jednego sklepu!

Jedna z chmur w końcu przysłoniła słońce. Świat dookoła poszarzał. Może to przez podejrzliwe spojrzenie, którym obdarzyła ją nadkobieta, ale Laila przestała się czuć aż tak beztrosko. Przyspieszyła kroku. Miała wrażenie, że przechodnie patrzą na nią dziwnie. Ich przedtem neutralne postacie zaczęły się zdawać ponure i nieprzyjazne.

– Mówię ci, jeszcze kwarantanna czy dwie i nie dam rady się powstrzymać. Ciekawe, jak im się spodoba tam, za rzeką, jak ktoś w końcu puści z dymem to ich wycackane miasto.

Drgnęła i obejrzała się niespokojnie.

– No, zobaczyliby, jak to jest, bez żywności, fikuśnych medykamentów albo bez dachu nad głową. Trochę by popadało i zaraz zamiast stada pięknych pawli mielibyśmy bandę zmokłych kur, he, he.

– Zdrajcy narodu! Liżą Sługom buty, a nas wszystkich mają głęboko...

– Słyszałem, że chcesz coś kupić, śnieżynko – usłyszała nagle ochryple głos tuż obok prawego ucha. Prawie podskoczyła. Tuż obok, zdecydowanie za blisko jak na jej gust, stał podejrzanie wyglądający nadmężczyzna, owinięty w poprzecierany szary płaszcz, w szmacianych rękawiczkach bez palców.

– Może buteleczkę absyntu? – zaproponował przymilnie. Odsunął połę płaszcza. W głębokiej kieszeni spoczywała butelka, w trzech czwartych pełna zielonkawego płynu. – Może być cała, może być na łyki. Wyglądasz na zmartwioną, śnieżynko. Nic się nie bój, wystarczy odrobina Zielonej Wróżki, a twoje problemy znikną, zobaczysz.

– Nie, dziękuję. Nie mam żadnych problemów. A już na pewno nie zamierzam ich rozwiązywać za pomocą napoczętej przez kogoś butelki – rzekła chłodno, z trudem odrywając wzrok od czarnych obwódok znaczących paznokcie natręta.

To był błąd. Powinna była po prostu go zignorować. Mieszaniec najwyraźniej uznał jej odpowiedź za zachętę. Ruszył za nią, wcale nie mając zamiaru dać jej spokoju. Przyspieszyła kroku. Obcy zrobił to samo.

– Gdzie tam napoczęta! – zawołał. – Jest prawie pełna, jak Boga kocham!

Nie odpowiedziała, licząc, że nadmężczyzna w końcu po prostu się znudzi. Myliła się. Szedł tak blisko, że prawie czuła na karku jego śmierzący oddech.

– Zgubiłaś się, śnieżynko? – zagaił znowu. – Taka ślicznotka jak ty nie powinna spacerować samotnie. I to jeszcze w takiej ładnej, nowiutkiej chustce. – Pokazał w uśmiechu zęby, zażółcone od tytoniowego dymu. Podniósł rękę i zanim zdążyła zareagować, chwycił skraj chusty i potarł w palcach, sprawdzając materiał. Zmroziło ją to niespodziewane

naruszenie tej intymnej przestrzeni, do której dostęp miały jedynie osoby jej najbliższe. Nagle poczuła, że się boi. Bardzo się boi.

Cofnęła się, wrywając mu skrawek chustki z ręki i prawie zsuwając ją sobie z głowy. Odwróciła się i pobiegła. Prawie od razu zderzyła się z przechodniem w obszarpanej czapce, który warknął coś do niej ze złością. Wyminęła go, nawet nie przepaszając. Ulica była pełna ludzi. Laila musiała kluczyć i lawirować, by ciągle na kogoś nie wpadać. Poruszała się zdecydowanie za wolno. Zerknęła do tyłu. Szedł za nią. *Niech to nicość!* Nie wiedziała, czego chciał, ale na pewno niczego dobrego. Przepychała się gorączkowo, serce tłukło się w piersi. Nie mogła wołać o pomoc. Nie chciała ściągać na siebie uwagi. Co robić?!

Nagle zobaczyła wybawienie. Szyl! Za ledwie kilkanaście kroków dalej! Nareszcie! Nawet nie przeczytała napisu, zresztą połowa i tak była zarośnięta mchem. Wpadła do środka i zatrzasnęła drzwi. Wiszący u góry dzwonek rozdzwonił się przeraźliwie.

Czekała z bijącym sercem. Nie wszedł za nią. Zrezygnował.

Odetchnęła głęboko, czując, jak mrowiące uczucie ulgi rozlewa się po ciele. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nawet nie wie, gdzie w takim pośpiechu weszła. Rozejrzała się.

Najwyraźniej trafiła do sklepu zielarza czy innego szarlatana. Pomieszczenie było maleńkie i ciemne, pełne intensywnego zapachu ziół, tak mocnego, że przez chwilę zakręciło jej się w głowie. Wszystkie ściany obstawione były półkami pełnymi słoików, słoiczków i butelek. Z sufitu zwieszały się pęki suszonych roślin.

– Pomóc w czymś? – zapytał lekko nosowy głos.

Musiała schylić głowę, żeby przejść pod nisko zawieszonym wiechciem, zanim zobaczyła rozmówcę. Za ladą stał niski nadmężczyzna, mniej więcej w wieku Tanurila, o krótko obciętych myszaty włosach. Ucierał coś w moździerzu. Ladę zastawiało kilka otwartych słoiczków z ciemnego szkła, na piecyku w kącie stał garnek z czymś, co wyglądało i śmierdziało jak roztopiony tłuszcz. Nadmężczyzna uniósł brwi, widząc jej zadyszkę, zaróżowione policzki i pasmo złotych włosów, które w czasie biegu wysunęło się spod chusty.

To była właśnie osoba, której szukała. Aptekarz. Dość bogaty, by kupić wszystkie te słoiczki, butelki i zioła. Oto nadczłowiek, któremu miała zawierzyć całą swoją przeszłość.

– Ja... – zaczęła, ale urwała. Może to przez to, że była przestraszona, ale coś jej się nie podobało. Twarz sprzedawcy kryła się w półcieniu. Bezwstydnie taksował ją przymrużonymi oczami od stóp do głów. W sposobie, jakim przekrzywił głowę, było coś, co przywołało jej na myśl natręta z ulicy.

Co ona, na miłość boską, robiła? Chciała zaufać obcemu mieszkańcowi z jakiejś ciemnej nory, o którym nic nie wiedziała? Który równie dobrze może jej zrobić krzywdę przy pierwszej nadarzącej się okazji?

Już raz podjęła ryzyko. Tanuril, chociaż zachowywał się skandalicznie, spędził z nią noc i nawet jej nie dotknął. Kiedy się pokłócili, był na nią wściekły, widziała to. Naprawdę udało jej się zaleźć mu za skórę. Mimo to jej nie uderzył. To ona próbowała go uderzyć, czego teraz powoli zaczynała się wstydzić. Do tego drażniła ją myśl, że jest mniej opanowana niż niewychowany ulicznik.

Ile razy mogła ryzykować? Tym razem może nie mieć tyle szczęścia. Czego ten tutaj może chcieć w zamian za pomoc? Co jeśli jego żądania nie będą przyzwoite? Wiedziała, czego nadmężczyźni chcą od ładnych kobiet. Co jeśli mu odmówi? Czy to mu zrobi różnicę?

Istniała też szansa, że w ogóle jej nie uwierzy. Wczoraj miała na sobie suknię, a dziś? Rozzochrana dziewczyna w starym, podartym ubraniu, która twierdzi, że jest bogata? Jeśli aptekarz ją wyrzuci, kto jej zagwarantuje, że nie zacznie rozpowiadać plotek o dziwaczce, która uważa się za nie wiadomo kogo? Do tego... niech to nicość porwie! Jeśli panna Hencelrinki złamie umowę, Aave może nagle przestać być taki uczynny. Pewnie sprzeda informację o niej, żeby jakoś powetować sobie stratę. Albo ze zwykłej zawiści. Albo... Powodów, dla których mógł ją wydać, było całe mnóstwo. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała?!

– Ja... – powtórzyła, uświadamiając sobie, że stoi bez słowa, wpatrując się w sprzedawcę. – Potrzebuję jakiegoś specyfiku na przeziębienie – wymamrotała w końcu. Natychmiast prawie ugryzła się w język. Przeziębienie? Kto by z powodu przeziębienia biegł do apteki po lekarstwo! To dopiero było podejrzane!

Zielarz wyszedł zza lady, przeszedł do jednej z półek i zaczął przeglądać słoiczki.

– Jak długo pacjent niedomaga? – zapytał. – Czy primiony są mu jeszcze posłuszne?

Rutynowość tych pytań uświadomiła jej, że być może w Rioko przeziębienie było czymś, z czym należało się liczyć. Mieszkańcy prawie nie mieli primionów. Ciężiej chorowali i wolniej wracali do zdrowia. Do tego ta wszechobecna wilgoć, chłód i marne jedzenie. Zresztą, z jakiegoś powodu obejmowano ich kwarantanną.

– Parę dni – odpowiedziała, powoli odzyskując spokój. – Primiony zachowują się normalnie.

– W takim razie nalewka z lipy, czarnego bzu, szaławii i rumianku. – Pokazał buteleczkę z ciemnego szkła. – Łyżka dziennie, nie więcej! Butelka do zwrotu.

Podał cenę i skrzywił się, widząc jej minę.

– Moja droga, to nie są tanie rzeczy – burknął. – Trzeba zebrać rośliny, i to poza miastem, żeby nie były zanieczyszczone tą przeklętą sadzą. Zapas musi starczyć na cały rok, a nie muszę ci chyba tłumaczyć, jak ciężko jest trzymać suszone zioła w takich warunkach! Resztę trzeba przerobić na maści i nalewki. Kupić półprodukty, alkohol. A to wszystko zabiera czas i wymaga specjalistycznej wiedzy – dokończył nieco przemądrzale. Spojrzał na nią z góry, mimo że przy odrobinie dobrej woli mogłaby uznać, że są równego wzrostu. – I tak już

sprzedają je prawie po kosztach, bo jestem głupi i zamiast zbijać majątek, daję sobie wchodzić na głowę różnym moralizującym durniom – dodał zjadliwie.

Pozwoliła mu się wygadać, choć całkowicie źle ją zrozumiął. W rzeczywistości cena lekarstwa była absurdalnie niska. Nadmężczyzna rzeczywiście miał na nim niewiele zysku. Dlaczego? Nie znał się na interesach? A może tutejszych mieszkańców naprawdę nie było stać na nic droższego?

– Przykro mi. – Potrząsnęła głową. Nawet gdyby zamierzała coś kupić, i tak nie miała grosza przy duszy. – Nie mam tyle pieniędzy. Proszę wybaczyć, że zabrałam panu czas.

Nie wydawał się zdziwiony. Butelka błyskawicznie zniknęła między innymi specyfikami.

– Życzę zdrowia – rzekł tylko. – Przyjdź, gdyby się pogorszyło.

Poprawiła chustkę i wyszła, zastanawiając się nad znaczeniem ostatnich słów. *No cóż, to Rioko, pełne mieszkańców, w których żyłach płynie pewnie więcej wody niż nadludzkiej krwi.* Aptekarz, nawet tak żałosny jak ten tutaj, miał władzę nad nadludzkimi sercami. Zdesperowani klienci na pewno byli gotowi na wiele, by uratować swoich najbliższych.

Zaczęła wracać do domu, czy też do izby, która obecnie była jej domem. Myśli znów powędrowały do kłótni z Tanurilem Aave. Zapis uczył, że mieszkańcy są istotami grzechu i słabości. Czy w takim razie mogła winić Tanurila za to, że nie zapanował nad gniewem? Ale to by znaczyło, że to Laila, istota wyższa i zdolna do samokontroli, dała się sprowokować.

A jednak cię nie uderzył, choć wyglądał, jakby miał na to wielką ochotę. Albo kontrolował się lepiej, niż się spodziewała, albo był znacznie mniej zadziorny i buntowniczy, niż ogłaszał to całym swoim ponurym jestestwem.

Tak czy inaczej, wszystko wskazywało na to, że powinna schować dumę do kieszeni i spróbować jakoś go znosić, dopóki ich losy się nie rozłączą. Zresztą, po tym, co pokazał, nie sądziła, żeby był w stanie zaszokować ją czymś jeszcze.

Z zamyślenia wyrwał ją dopiero urwis w oberwanej czapce, który potracił ją w biegu, aż się odwróciła. Przez chwilę myślała, że ją okradł, ale przecież nie miała nic, co mógłby zabrać. Dziecko zniknęło za rogiem, a za nim kilkoro innych, toczących metalowe kółko. Wzruszyła ramionami, gdy nagle dostrzegła coś, co sprawiło, że włosy na karku stanęły jej dęba.

Poprzecierany szary płaszcz.

KONIEC DARMOWEGO FRAGMENTU

**PRZEDSPRZEDAŻ JUŻ OD 6 LUTEGO W
WYDAWNICTWIE HM...!**

Więcej o książce znajdziesz na stronie

www.czerwfantastyczny.pl

